

**ROCZNIK
STOWARZYSZENIA RODU
CHROMIŃSKICH**

Nr 10/2015

Numer jubileuszowy



Stowarzyszenie Rodu Chromińskich
ul. Bernardyńska 21 m.62
02-904 Warszawa
www.chrominscy.pl



Drodzy Chromińscy - członkowie Stowarzyszenia!

Mijający 2015 rok był rokiem wyjątkowym w naszym Stowarzyszeniu. Rokiem naszego jubileuszu. To właśnie 10 lat temu, na Zjeździe w Reymontówce pod Siedlcami, powołaliśmy, jednomyślną decyzją, Stowarzyszenia Rodu Chromińskich. To już **dziesięć lat** naszego istnienia! Także dziesięć numerów naszego Rocznika! Było i jest co świętować! Możemy być dumni z tych minionych lat. Z tego, że zapał nasz wówczas, w 2005 roku, nie okazał się słomiany. Że stworzyliśmy coś trwałego. Tegoroczne obchody jubileuszu 10-lecia były (moim ale przecież i Waszym zdaniem) bardzo godne i udane. Spotkaliśmy się po 10 latach w tym samym miejscu - w Reymontówce. Jednym z najważniejszych momentów obchodów naszego jubileuszu była msza święta w kościele parafialnym w Zbuczynie, gdzie znajdują się od wieków akta metrykalne naszych przodków, oraz uroczystość w Chromnej, na której odsłoniliśmy, a ksiądz proboszcz poświęcił, kamień upamiętniający wszystkich Chromińskich oraz 10-lecie powołania naszego Stowarzyszenia. Kamień, który (mam taką nadzieję) będzie trwał przez pokolenia i świadczył o naszej pamięci o tych, którzy nas poprzedzili i o nas samych. Były to piękne, wspólnie przeżyte chwile. Było

wśród nas wielu, którzy uczestniczyli 10 lat temu w tamtym zjeździe. Niektórzy nie mogli przybyć, niektórych zabrakło już na tym świecie. Ale atmosfera tegorocznego, jubileuszowego zjazdu, przypominała tamtą, sprzed 10 lat. Teraz, dumni z tego co za nami, musimy zastanowić się nad przyszłością. Nad tym jak prowadzić, jak organizować, jak działać w Stowarzyszeniu w latach przyszłych? Jak nie dopuścić do tego, aby te dobre emocje które pozwoliły nam przez 10 minionych lat budować nasze więzi rodowe, naszą wspólnotę, nie opadły, nie spowszedniały? Co robić, aby obecność w Stowarzyszeniu była nie obowiązkiem czy przyzwyczajeniem, ale radosną, z chęcią i zapałem przyjmowaną powinnością? Powinnością Chromińskich?

W przyszłym roku spotkamy się na kolejnym, V zjeździe. Gdzie - jeszcze nie wiadomo? Może ponownie w Reymontówce? Ale najważniejsze będzie nie to gdzie się spotkamy tylko z jakim dorobkiem z niego wyjedziemy? Po 10 latach warto będzie pokusić się nie tylko o podsumowanie minionych lat, ale także o wytyczenie kierunków naszych działań w przyszłości i o wybranie nowych władz Stowarzyszenia. Konieczność odnowienia ich, przekazania „pałeczki” kolejnemu, młodszemu pokoleniu, staje się wymogiem, od którego zależeć będą losy naszej wspólnoty, losy Stowarzyszenia. Mam nadzieję, że sprostamy temu wyzwaniu. Że młodzi członkowie Stowarzyszenia odważnie i z ufnością przejmą na siebie te zadania!

A zatem – do spotkania na kolejnym, V Zjeździe!!!

Sławek,

Prezes Stowarzyszenia Rodu Chromińskich

Non omnis moriar Pamięci tych, co odeszli

W tym roku odszedł od nas „na wieczną wartę” senior naszego Stowarzyszenia Ryszard Chromiński ze Starego Kurowa. To już trzecia osoba spośród nas, która przeszła „na tamtą stronę”. Jego pamięci poświęcone są poniższe teksty.

Mój tata - jaki był?

Zastanawiałam się długo co o nim napisać? Jak ja Go będę pamiętała, jak wszyscy w rodzinie Jego zapamiętamy? Zapamiętamy przede wszystkim jako oddanego rodzinie tatę, dziadka, pradziadka i gorącego patriotę.

Od wczesnego dzieciństwa kojarzę tatę jako silnego, wysokiego i postawnego mężczyznę.

Miał donośny głos, był też wybuchowy. W zasadzie był typem choleryka. Łatwo się unosił ale też bardzo szybko stawał się łagodny jak „baranek”. Był taki okres w moim dzieciństwie, że budził we mnie nawet strach, ale jak tylko się połapałyśmy z siostrą z tym jego „charakterkiem”, to mogłyśmy Go sobie owinać wokół przysłowiowego „paluszka”. Lubił porządek i ład. Zawsze wiedział gdzie co leży, pilnował nas żebyśmy kładły wszystko na swoje miejsce. Można by powiedzieć, że był tyranem porządku. Ale po latach tę cechę doceniłam. Z mamą zawsze się wadzili o porządek, gdyż mamusia jak sama mówi miewała czasami „artystyczny nieład”. Mówiła wtedy do taty: spróbuj na to spojrzeć okiem artysty, ale tatuś patrzył na to okiem wojskowego i nie dał się przekonać. Porządek przede wszystkim. W dzieciństwie do godziny 16:00 mogłyśmy dom wywrócić

„do góry nogami” podczas zabawy. Jednak tuż przed 16-stą, kiedy to tata wracał z pracy, wszystko musiało być na swoim miejscu. Pamiętam też, że latem bawiliśmy się w Indian wzorując się na filmie „Winetou i Apanaczi”. Tata wystrugał nam karabiny z drewna i przystroił pineskami. W starej szopie zainstalował nam „saloon”. To były wspaniałe zabawy. Latem też zabierał nas nad jezioro położone niedaleko naszego domu. Wiele pokoleń dzieci nauczył tam właśnie pływać. Wiele naszych koleżanek i kolegów zawdzięcza Mu tę umiejętność. Był nad wodą ratownikiem i opiekunem. Wiele osób uratował przed podtopieniem a nawet utonięciem. Uczył nas jak zachowywać się w wodzie, żeby nie zrobić sobie i innym krzywdy. Pokazywał jak wspaniałą umiejętnością jest pływanie gdy zachowujemy zasady bezpieczeństwa.

Relacje z mamą były czasami bardzo śmieszne. Taki obrazek: słyszę donośny głos taty w kuchni a potem trzaśnięcie drzwiami. Myślę - o co poszło, co się stało? Wyobraźnia podsuwa różne scenariusze. Za chwilę wchodzi tatuś do kuchni i łagodnym głosem przemawia do mamusi: „Danusiu przynieść ci chrzaniku?” Bo akurat kisila ogórki. Inna historyjka. Dzień przed „kolędą” rodzice mają tzw „ciche dni”. Przychodzi ksiądz z wizytą a oni jak gdyby nigdy nic, wszystko jest OK. Ksiądz na koniec pyta jakie obrazeczki by chcieli. No i mamusia prosi o „ Matkę Boską Bolesną” a tatuś ripostuje: a ja „Chrystusa cierpiącego”.

Innym razem późno w nocy budzą mnie jakieś hałasy, donośne głosy, szurania, pukania. Wstaję i idę do kuchni. Widzę jak mama okłada tatę po plecach szufelką. Okazało się, że rodzice łapali mysz, która wlaźła tacie

przez rękaw pizamy na plecy. Tatuś naprężył się, trzymał rękawy i górę pizamy a mama "łomotała" mysz na jego plecach. Takich różnych, śmiesznych historii było wiele. Przez ostatnie dziesięć lat rodzice mieszkali z nami w Starym Kurowie. Zimą przebywali w Radomii koło Zielonej Góry u siostry. Mówiło się w rodzinie, że rodzice jak bociany, na zimę odlatują na południe, a wiosną wracają do gniazda – do Kurowa. Te ostatnie dziesięć lat tata oceniał jako najszcześniejsze w swoim życiu. Do swoich szczęśliwych lat życia zaliczał też 10 lat dzieciństwa sprzed wojny, które spędził z rodzicami i rodzeństwem. To było miasto Słonim na Kresach. Gdy wybuchła wojna wszystko się zmieniło. Stracił ojca w działaniach wojennych. Uniknęli wywózki na Sybir. Potem ucieczka do rodziny do Polski a następnie osiedlenie się na tzw. „Ziemiach zachodnich”, w Zwierzynie. Tutaj musiał szybko dorastać i otoczyć rodzinę opieką.

Obawiałam się, czy tata zechce zamieszkać z nami w Starym Kurowie? Jakoś o mamę się nie martwiłam, ma wyjątkową zdolność zaadoptowania się w każdym środowisku. Obawy moje okazały się nie potrzebne. Wtopił się pięknie w kurowskie środowisko. Oboje z mamą należeli do Klubu Seniora „Tęcza”. Tata mawiał - Klub to taka druga „rodzina”, w której przeżywali swoje radości i cieszyli się ze wspólnych spotkań. Na uroczystościach tata lubił śpiewać. Wraz z panią Marysią w duecie pięknie brzmiała ich Dumka, a także przeżabawne przyspiewki w których to przekomarzali się.

Jako kombatant tata był zapraszany do szkół. Ciekawie opowiadał o historii Polski. Młodzież słuchała Go w

pełnym skupieniu. Nawet nauczyciele byli zdziwieni takim zainteresowaniem młodzieży. W przerwie demonstrował i ćwiczył z młodzieżą musztrę wojskową. Tu w Kurowie w naszym małym gospodarstwie starał się być bardzo pomocny. Zawsze wiedział gdzie co się znajduje. Wnuki, gdy czegoś szukały, to od razu udawały się do dziadka. Precyzyjnie określał, że to i to leży na hali po prawej stronie na drugim regale itp. Gdy wracaliśmy z Piotrkim z pracy, to tatuś zjawiał się z meldunkiem: „Halusia psy, koty nakarmione, pod tujami pozamiatane, śmieci wyniesione, ziemniaczki wykopane i umyte, trawa skoszona” itd. Do ostatnich dni życia był bardzo pomocny i aktywny. Bycie użytecznym sprawiało mu radość i cieszyło, że może nam pomagać. W obejściu, w ogrodzie, w sadzie – na każdym kroku czuję nadal jego obecność.



Halina Tatarzyńska

Ryszardowi

Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych. Wątpliwa to prawda... Są tacy ludzie i ś. p. Ryszard do nich należał. Był kimś wyjątkowym w naszym Stowarzyszeniu. Jako świadek i uczestnik wielkich wydarzeń historycznych, swoją osobą dodawał mu wagi i „patyny lat”. Był seniorem naszego Stowarzyszenia. Przenosił do naszej świadomości obraz Ojczyzny z lat międzywojennych, z lat II Rzeczypospolitej, do czasów nam już częściowo znanych, a w każdym razie bliższych, powojennych. Chętnie się dzielił swoimi wspomnieniami regularnie, od 2 numeru naszego Rocznika, zamieszczając w nim swoje wspomnienia. Zawsze pisane z pasją i zdumiewające wręcz fotograficzną pamięcią ludzi, miejsc, zdarzeń. Wszystko to poparte było datami. Nie rocznymi, nie miesięcznymi. Dziennymi! Po tylu latach, po takich przejściach! Tak jak w całym swoim życiu tak też w naszym Stowarzyszeniu Rodu Chromińskich, do którego przystąpił w 2007 r. na II Zjeździe w Przełazach, nie potrafił „stać z boku”, nie włączać się aktywnie w jego działalność. Ofiarność Jego uwidoczniła się szczególnie w dziele upamiętnienia wielu pokoleń Chromińskich oraz powstania naszego Stowarzyszenia, ustawieniem w Chromnej pamiątkowego kamienia, na który to cel był najhojniejszym ofiarodawcą i który wraz ze swoim imiennikiem Ryszardem z Siedlec, uroczyście odsłonił na Jubileuszowym Zjeździe dnia 2 maja br.. Jako człowiek wielkiego zaufania, pełnił do swojej śmierci, obowiązki przewodniczącego Komisji Rewizyjnej naszego Stowarzyszenia.

Brak nam będzie takiej osoby, brak będzie Ciebie Ryszardzie wśród nas. Ale – „Non omnis morituri est” (*nie cały odszedł*). Zostało po Tobie Twoje dzieło, dzieło Twojego życia.

Sławomir Chromińskich

Prezes
Stowarzyszenia Rodu Chromińskich

Powyższy tekst jest wpisem jaki umieściłem - w imieniu członków Stowarzyszenia - w księdze kondolencyjnej, poświęconej pamięci zmarłego Ryszarda ze Starego Kurowa, członka Stowarzyszenia, przewodniczącego Komisji Rewizyjnej i seniora naszego Rodu.



Okiem refleksyjnym po Zjeździe Jubileuszowym

10 lat minęło jak 1 dzień. Tyle się wydarzyło, tyle zmieniło. Nigdy nie zapomnę atmosfery I Zjazdu, ale też i obawy jaka wtedy towarzyszyła mi przed tym Zjazdem: jak to będzie? Czy Zjazd wypali? Czy nie wrócimy do domu z niesmakiem spowodowanym nieudanym spotkaniem? To, co było potem przekroczyło chyba najśmielsze oczekiwania uczestników, a mój mieszkający nieopodal tata żałował, iż z uwagi na swój stan zdrowia i podeszły wiek nie mógł przybyć na zjazd, przynajmniej na wspólne spotkanie i zdjęcie przy Krzyżu w Chromnej. Teraz nie ma Go już wśród nas, ale jestem pewna, że gdyby mógł, to byłby na Zjeździe Jubileuszowym i z dumą pozowałby do zdjęcia przy Pamiątkowym Kamieniu w Chromnej. Tata, podobnie jak ja, nigdy nie przypuszczał, że moja pasja genealogiczna wspomożona moimi ówczesnymi możliwościami czasowymi i brakiem zobowiązań będzie miała swój udział w stworzeniu czegoś tak trwałego jak nasze spotkania rodzinne.

Na Zjazd Jubileuszowy dotarłam wraz z mężem - nieco spóźniona, bo wprost na uroczystą kolację – trzeba było jeszcze zapewnić opiekę naszym dwóm małym pociechom. Pozytywnie zaskoczyła mnie liczba uczestników, było tak wiele osób w porównaniu do garstki wręcz obecnych na uroczystej kolacji I Zjazdu. Pojawiły się nowe osoby – wspaniale, że nasze Stowarzyszenie żyje i rozwija się. Myślę, że w tej mierze wiele zawdzięczamy naszemu Prezesowi Sławkowi, który czasem nawet uporczywie, ale i skutecznie przypomina o kalendarzach, rocznikach, zachęca do

różnych aktywności i działań oraz je organizuje jak tylko znajdą się chętni.

Przed I Zjazdem nawet nie przypuszczałam, że uda się stworzyć jakiś twór organizacyjny, który stanie się podbudową kolejnych zjazdów i spotkań. Przy czym nie chodzi nawet o jego formę prawną – stowarzyszenie- ale po prostu o umowną strukturę, na czele której ktoś będzie stał i nią zarządzał. Wydawało mi się, że raczej się to nie uda – jesteśmy zbyt zatomizowani i niechętni istnieniu w strukturze, a tu zaskoczenie: uczestniczący opowiedzieli się jednogłośnie za powołaniem stowarzyszenia i to jako osoby prawnej.

Szkoda, że nie wszyscy, którzy uczestniczyli w tamtym pierwszym historycznym Zjeździe, byli obecni na tym szczególnym i wyjątkowym, bo Zjeździe Jubileuszowym. Niektórzy nie mogli dojechać z różnych przyczyn, niektórych po prostu już nie ma wśród nas na ziemi. Czas płynie nieubłagalnie i trzeba liczyć się z tym, że na kolejnych zjazdach znów może kogoś zabraknąć, niekoniecznie z powodu natłoku obowiązków.



„Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...”

Pozując do wspólnego z Ryszardem ze Starego Kurowa zdjęcia przy Pamiątkowym Kamieniu w Chromnej, nawet przez myśl mi nie przeszło, że to już nasze ostatnie spotkanie. Żegnając się powiedzieliśmy sobie: „do zobaczenia na następnym zjeździe”. Kiedyś anonimowi - teraz osoby z krwi i kości... też tak macie, że zastanawiacie się co u kogo słyhać?



W Chromnej, pod krzyżem

Czy zdrowi, czy wszystko ok, jak dzieci ? (itp., itd.). Bo ja czasami tak sobie myślę ...

Basia

Nasi goście napisali

Na moją prośbę ojciec profesor dr hab. Marek Sokółowski SJ (jezuita), który obdarza mnie, z niewiadomych dla mnie przyczyn, swoją przyjaźnią, za co jestem Mu niezmiernie wdzięczny, zgodził się napisać wspomnienia ze swojej pracy duszpasterskiej na Alasce. Liczę na stałą obecność ojca profesora na naszych łamach. Tekst wspomnień poniżej.

MOJA ALASKA – W BIELI CAŁA



Zakon Jezuitów znany jest między innymi z tego, że przygotowujący się do kapłaństwa jego członkowie, przechodzą bardzo długą formację intelektualną i duchową. Zwykle święcenia kapłańskie otrzymuje się po około dwunastu latach przygotowania. Formacja ta właściwie trwa nieustannie, po święceniach kapłańskich również. Mówi się więc o formacji permanentnej.

Jednym z etapów, szczególnie formacji duchowej jest tzw. „trzecia probacja”. Jezuici poświęcają na nią około roku czasu, już po święceniach kapłańskich i kilku latach pracy.

W moim przypadku właśnie tak się działo. Byłem pięć lat po święceniach kapłańskich i studiach specjalistycznych na Uniwersytecie Gregoriańskim w

Rzymie. Stan wojenny wprowadzony na terenie całej Polski, zatrzymał mnie w kraju i nie mogłem kontynuować moich dalszych studiów. Przez trzy lata pracowałem jako duszpasterz akademicki. Aż w 1984 roku mogłem wreszcie z kraju wyjechać.

Ten szczególny formacyjny czas przyszło mi spędzać w Spokane, w Stanie Waszyngton, Ameryki Północnej. W Spokane właśnie był jezuicki Uniwersytet Gonzaga. Mieszkalem na terenie kampusu uniwersyteckiego. Przedtem przez kilka miesięcy mieszkalem w Los Angeles i San Francisco. Ostatnie przed probacyjne dni spędziłem w Seattle we wspólnocie jezuitów pracujących na tamtejszym Uniwersytecie.

Jeszcze z dwoma moimi współbraćmi zdecydowaliśmy jechać z Seattle do Spokane samochodem. Jechaliśmy kilka godzin na wschód. Trzeba było pokonać Góry Skaliste. I wtedy zauważyłem dziwne szarości wzdłuż dróg. Okazało się, że były to pozostałości po erupcji Wulkanu Św. Heleny. Wulkan ten rozślawiła spektakularna erupcja w niedzielę 18 maja 1980 roku. Była jedną z pierwszych erupcji przewidzianych przez służby wulkanologiczne – poprzedziło ją powstanie wybrzuszenia na północnym stoku i liczne trzęsienia ziemi. Jedno z nich spowodowało osunięcie się całego północnego boku góry, co było największym zarejestrowanym osuwiskiem w historii. Wywołane tym zmniejszenie ciśnienia zapoczątkowało erupcję. Wulkan stracił wówczas 400 m wysokości.

Jechaliśmy cztery lata po erupcji wulkanu i byliśmy oddaleni od niego o kilkaset kilometrów, a popioły ciągle jeszcze spoczywały gdzieś wzdłuż dróg.

Kiedy wcześniej leciałem z San Francisco do Seattle z okna samolotu widziałem tę rozwaloną górę i ogromne szare przestrzenie wokół niej. Jakiś taki przerażający był to widok. Prawie apokaliptyczny.

W Spokane mieszkaliśmy w ósemkę w domu na terenie kampusu uniwersyteckiego. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że mieliśmy dyżury przy gotowaniu posiłków. A gdzież mi do gotowania. Nic nie umiałem przygotować. Wszedłem więc w układ z jednym ze współbraci, Amerykaninem, że ja za niego będę brał sprzątanie domu, a on będzie mi pomagał w gotowaniu. Wypaliło i to całkiem nieźle. Ale gotować to ja się nigdy nie nauczyłem. To też jest taki stan permanentny w moim zakonnym życiu.

Najbardziej oczekiwałem na tzw. eksperyment probacyjny. Chodziło o pracę duszpasterską w bardzo szczególnych, nieznanych do tej pory warunkach. Ja zawsze marzyłem o Alasce. Tyle się o niej naczałem i nasłuchiwałem. A oto jezuici amerykańscy z Prowincji Oregon właśnie tam misjonarzowali od kilkudziesięciu lat. Pozałatwiałem, co się dało. No i poleciałem.

Na Alasce miałem spędzić prawie cztery zimowe miesiące w 1985 roku. Najpierw leciałem samolotem godzinę ze Spokane do Seattle. Później pięć godzin do Anchorage. No i jeszcze ponad dwie godziny do Bethel. To miało być moje miejsce wypadowe do eskimoskich wiosek w terenie. A teren okazał się niezmierny. Ogromny, biały obszar aż po horyzont. A zimno było, jak przysłowiowa „cholera”.

Samo Bethel było dosyć dużym, jak na tamte realia miasteczkiem. Wtedy około czterech tysięcy mieszkańców. Spotykałem tam Eskimosów, Indian, tzw.

białych i jeszcze inne różne ludzkie rasy, nawet Filipińczyków. Miasto leżało nad rzeką Kuskokwim. Dlaczego wspominam rzekę? Bo rzeki na Alasce to cała historia i coś, bez czego „życia nie ma”. To już nie tylko ryby, jako podstawa menu eskimoskiego. Bo kiedy wiosną topnieją na rzekach lody, wpływają wtedy wielkie barki z olejem opałowym. Pompują ten olej do ogromnych zbiorników. Pompują tego tak dużo, żeby starczyło na całą, długą zresztą zimę alaskańską. W Bethel to mieli nawet lokalną stację telewizyjną i radio jakies. Pamiętam, że zapraszali mnie i do radio i do telewizji. A były to czasy szczególne wtedy. Połowa lat osiemdziesiątych XX wieku w Polsce też była szczególna. O tym się wtedy rozmawiało. Ale później już nigdy w telewizji mnie nie zobaczono. Ani za Oceanem, ani w kraju rodzinnym. Kolejny permanentny stan w moim życiu, świadomie zresztą wybrany.

To właśnie w Bethel tak naprawdę zetknąłem się z Alaską tą już zamerykanizowaną. Bo tam jakiś sklep też był. Był kościółek katolicki i jakiś inny jeszcze. Była szkoła, no i w ogóle lotnisko było, nawet takie większe.

Przyszedł czas na życie na Alasce. A ja w sercu sam siebie pytałem ciągle. Czy to ma być ta piękna Alaska, o której się tyle naczytałem? A gdzie są ci maleńcy Eskimosi? Oj byli, byli i to całkiem żywi w realu, a nie na zdjęciach. Faktycznie byli niewysocy. Mało mówili i tylko się uśmiechali, pokazując przy tym krótkie poźółkłe zęby. Potem skonstatowałem, że te zęby to chyba dlatego, że oni ciągle żuli jakieś wstrętne suszone ryby i coś tam jeszcze. Moi Eskimosi, chociaż nieco dziwny zapach ich otaczał, byli jednak bardzo serdeczni. Patrzyli na „białego księdza”, jak na kogoś

„stamtąd”. Nie potrafili wyobrazić sobie, że księdzem mógłby być ktoś z nich. I faktycznie, nigdy nie spotkałem Eskimosa w stanie duchownym.

Od samego początku miałem trochę kłopotów z jedzeniem na Alasce. Kiedy wylądowałem w Bethel, było to w dzień po pogrzebie prowadzonym przez mojego współbrata, lokalnego proboszcza. Rodzina zmarłego zaprosiła nas na coś w rodzaju stypy. W domu wszyscy jedli jakąś zupę. Jak się okazało była to zupa rybna. Nie było nigdy innych zup na Alasce. Nawet ta rybna potem się już nie powtórzyła. I całe szczęście. Byłem przerażony zapachem tego dania. Jakieś kawałki ryby tam były, a wszystko wyglądało niezbyt zachęcająco. Spojrzałem pytająco na mojego współbrata, czy mam to jeść, czy może nie? Dał znak, żeby lepiej chociaż spróbować. No i spróbowałem i czegoś podobnego to ja jeszcze nie miałem w ustach. Zimne to było i takie niesmaczne, że wykrzywiało mi chyba gębę. Jakoś zmęczyłem trochę tej zupy, resztę niestety musiałem odstawić.

A w dalszym moim pobycie na Alasce uczyłem się jeść suszonego łososia. To było danie na cały dzień. Jadło się rano, w południe i wieczorem. A zapach przy tym pojawiał się mało ciekawy i raczej nie zachęcający do kontynuowania. Męczyłem się z tym strasznie. Mogę znowu powiedzieć, że Alaska dla mnie to permanentna obecność ryb w menu.

Wszystko już potem miało zapach ryby. Moje ręce i ubranie też. Zimą z wodą było trochę kiepsko. Szukałem gdzie się tylko dało czegoś do jedzenia, co rybą nie było. Miałem okazję jeść mięso z łosia i z bobra.

Potem miałem jakieś zupki w torebkach i tym się posiłałem.

Z Bethel latałem samolotem do wioski Marshal, nad rzeką Yukon. Całkiem duża wioska. Wtedy mieszkało tam około trzystu ludzi - Eskimosów. Część katolików, część prawosławnych, jeszcze jako pozostałości po obecności tam rosyjskiej z czasów gorączki złota. To właśnie w Marshal spędzałem najwięcej moich duszpasterskich dni. I tam też dopadł mnie problem kuchni, co to zawsze obca mi była.

Raz nawet dostałem od kogoś dwa pomidory, przywiezione z południa Stanów. Oglądałem te pomidory, jakby ze złota były. Jednego zjadłem. Pachniał rybą. Drugiego zostawiłem na ganeczku mojego domu na następny dzień, żeby trochę zgubił tego rybiego zapachu. Kiedy rano, cały przy nadziei na śniadanie z pomidorem, wziąłem go z ganeczka, okazało się że zmarzł na kamień. Po rozgrzaniu w domu wziął się i rozpułnął. I tyle z moich pomidorowych doświadczeń na Alasce.



Domek na Alasce

A mój domek w Marshal był maleńki raczej. Był jednocześnie biurem parafialnym, salką katechetyczną, kuchenką i pokojem jadalnym, sypialnią i tzw. łazienką. Warto zauważyć, że to były tylko dwa nieduże wcale pomieszczenia, których nawet pokojami nazwać byłoby trudno.

I jeszcze jedno zjawisko trochę mnie frapowało. Ziemia tam była wieczną zmarzliną. Zastanawiałem się, jak też oni kopią groby dla zmarłych. Osobiście nie asystowałem przy żadnym pogrzebie. Właśnie w Marshal robiłem przy lepszej pogodzie niedługie przechadzki. Przechodziłem obok niewielkiego cmentarzyka. Nijak nie mogłem pojąć, co też ci Eskimosi robią ze swoimi zmarłymi.

Innym miejscem na już jakby dłuższe przechadzki była zamarznięta rzeka Yukon. Kiedy nie wiało mocno, a temperatura rosła do około minus 40 stopni Celsjusza, ubierałem się we wszystko, co możliwe i szedłem. Szedłem przed siebie. I tak kilka godzin, a potem wracałem. Bezkresne białe przestrzenie. To było i piękne i przerażające zarazem.

Najbardziej podobały mi się tam wyścigi psich zaprzęgów, przy tzw. lepszej pogodzie. Pieski były śliczne, tylko trochę za szalone i niełatwo było się z nimi zaprzyjaźnić. Osobiście lubię pieski całym moim sercem ale te na Alasce to twarde istoty były. Łatwo się nie zaprzyjaźniają z obcymi. A tak w ogóle to mieszkają pod niebem. Żadnych psich bud tam nie widziałem. A zimno było bardzo. Czasami faktor zimna, czyli temperatura odczuwalna przy silnym wietrze spadała do minus 70 stopni Celsjusza. Tak było. A pieski sobie żyły i były śliczne.

Ciekawą instytucją na Alasce byli stali diakoni, rekrutujący się z tubylców. To zasługa jezuickich misjonarzy, którzy szkolili ich we wszystkich wioskach, gdzie docierali. W Marshal moim diakonem był Edwin. Mały wzrostem człowiek o dobrym i wielkim sercu. Kiedy nie było księdza, to on prowadził nabożeństwa i nosił Komunię świętą do chorych. On też był moim tłumaczem, bo większość moich parafian angielskiego nie znała. Posługiwali się swoim językiem zwanym „Yupik”. Młodszy, owszem znali już angielski.

Córka Edwina ukończyła miejscową szkołę. Małeńka to była szkoła. Po kilku uczniów w klasie. No i ona właśnie, jako pierwsza mieszkanka wioski, postanowiła kontynuować naukę na Uniwersytecie w Fairbanks. Długo tam nie pobyla.

Opowiadała mi, jak przebiegała jej rozmowa kwalifikacyjna. Weszła do wielkiej sali. Za stołem siedziało kilkoro poważnych ludzi i wszyscy mówili i coś od niej chcieli, o coś ciągle pytali. To ją zupełnie wybiło z rytmu, tego którego nauczyła się w swojej rodzinnej wiosce. A później w jej grupie na uczelni było więcej ludzi niż w całej szkole w Marshal. Doszła jeszcze tęsknota za domem. I wróciła i została przewodniczącą rady parafialnej. Eskimosi właściwie nie opuszczali swoich rodzinnych wiosek. A ja potem nigdy nie spotkałem Eskimosa nigdzie w Stanach.

Z Bethel wyruszałem do dwóch wiosek, do Marshal właśnie i jeszcze jednej, takiej położonej na wyspie małej wioseczki Mekoryuk chyba, wszak tutaj pamięć może mnie zawodzić. Ta wyspa połączona była z lądem, bo morze zamarzło. Tam było wtedy 172 mieszkańców. Wszyscy katolicy.

Raz jeden poleciałem tam z jednym z amerykańskich jezuitów, który od lat pracował na Alasce. Było bardzo zimno. Było ciemno. Wiatr wiał jak oszalały. Małeńki domek, zwany plebanią trząsł się w posadach. Mój amerykański współbrat chyba dostrzegł przerażenie w moim zachowaniu. Dość, że wieczorem, kiedy termometr pokazywał dużo poniżej minus 50 stopni Celsjusza, zaproponował, że to on zrobi kolację. I właśnie tej nocy, tak zimnej, na drugim końcu świata, gdzie nie ma nic oprócz zimna i lodu, jedliśmy polską kielbasę na gorąco. Skąd on tę kielbasę miał, nigdy nie udało mi się odkryć. Zrobiłem sobie z nią zdjęcie. Potem ze smakiem zjadłem. To jedyna kielbasa, jaką na Alasce spotkałem. Była dobra.

Moje wioski do duszpasterzowania oddalone były o około godzinę lotu z Bethel. A na Alasce jezuici latali małymi samolotami. Jedno z moich największych życiowych marzeń mogłem wtedy realizować. Uczyłem się pilnie pilotażu. No i latałem. Wszak zimą jedynym właściwie środkiem transportu był samolot. Poznałem tajniki prowadzenia niewielkiej awionetki Cessna 180.

Bardzo lubiłem ten niewielki samolocik. Marzenia mi się spełniały, gdy unosiłem się w przestworza. Poznawałem przy tym Alaskę z góry. Piękna, urzekająca biała kraina, wszak długą zimę tam spędziłem, odwiedzając eskimoskie maleńkie wioski, bardzo daleko od świata położone. Tym niewielkim samolotem przemierzałem Alaskę ze wschodu na zachód, z południa na północ no i jeszcze po przekątnych. Moim przyjacielem, instruktorem pilotażu i biskupem jednocześnie był mój współbrat zakonny o swojsko brzmiącym imieniu i nazwisku. To był Ojciec Michał

Kaniecki, a w Stanach Mike Kanecki – oni wymawiali „Kaneki”. Wielki człowiek o niezwykle dobrym sercu. Swoje święcenia biskupie otrzymał w 1984 roku w Katedrze w Anchorage z rąk Jana Pawła II. Zapyta ktoś, a dlaczego nie w Rzymie?

Otóż Mike był trzecim pokoleniem polskich emigrantów do Stanów. Pochodził z Detroit. Wstąpił do zakonu jezuitów i po studiach filozoficznych odbywał swoją praktykę duszpasterską właśnie na Alasce. Jak mawiał, w Alasce i w tubylcach rozkochał się wielce. Potem jeszcze studiował teologię w Toronto, przyjął święcenia kapłańskie i powrócił na Alaskę. Nigdy nie chciał jej opuścić. Nawet na swoje święcenia biskupie nie chciał do Rzymu lecieć. To sam Papież w drodze na Filipiny zatrzymał się w Anchorage i tam Mike przyjął sakrę biskupią. W swoim herbie biskupim umieścił samolotowe śmigło. To właśnie był jego firmowy znak. A pilotem był przednim. Alaskę poznałem właściwie dzięki niemu. Wielka, piękna i nieco groźna ta Alaska była. Może nie taka, jak ją pokazują na filmach. Nie taka, którą ogląda się z luksusowych statków wycieczkowych, docierających do miejsc na południu, gdzie lodowce się wałą do morza. Moja Alaska była zmrożona, biała cała i przeogromna. Tak daleko była od innych stanów Ameryki.

Po kilku latach, dwóch, czy trzech, dotarła do mnie wiadomość, że biskup Mike zmarł na atak serca podczas sprawowania Mszy świętej. Pan Bóg wziął go do siebie prosto z kapłańskiego i biskupiego marszu. To był pierwszy biskup w moim życiu, któremu mówiłem „na ty”. Czyniłem to jednak z wielkim szacunkiem, bo taki się mu należał.

Na Alasce marzłem do szpiku kości. Szybko okazało się, że ubranie, które ze sobą przywiozłem, zupełnie się nie sprawdzało przy temperaturach spadających do minus 50-60 stopni Celsjusza. Musiałem skorzystać z pomocy jezuitów. Mój proces ubierania się, żeby wyjść otworzyć kościółek i włączyć piecyk na olej, trwał chyba z pół godziny. Było naprawdę zimno tamtej zimy na Alasce.

Dobrze pamiętam też Wielki Tydzień 1985 w Marshall. Było bardzo zimno przed Niedzielą Palmową i wiało niemiłosiernie. O odlocie do Bethel nie było mowy. Postanowiłem zostać w tej wiosce na Święta Wielkanocne. Poprosiłem Edwina, mojego diakona-tubylca, aby przygotował jakieś palmy to może i procesję zrobimy. Faktycznie przyniósł jakieś suche badyłki. Nic tam nie rośło. Bezkresna tundra. Ale co tam. Poświęciliśmy nasze palmy-badyłki i było świątecznie. Potem Triduum Sacrum chyba najprostsze, jakie w życiu przeżyłem.

Nadeszła Niedziela Zmartwychwstania. Przyszło słońce, śnieg przestał padać, nie wiało tak mocno. Słowem prawdziwy Sunday, czyli dzień słońca. Do kościółka przyszli wszyscy. I prawosławni i katolicy. Zrobiło się niezwykle radośnie, bo o to zadbały dzieci. Wrzeszczały na całego, biegały po kościółku i nikt ich nie uciszał. Bo Eskimosi nie stosują żadnych kar ani gróźb wobec dzieci. Tylko słowna perswazja. Dobrze i to ale głośno było naprawdę. Po uroczystej Mszy świętej zrobiłem sobie z nimi zdjęcie przed kościółkiem.

Opowiadali mi jeszcze, że najstarsi mieszkańcy wioski nie pamiętają, aby mieli Wielkanoc z księdzem i to jeszcze z Polski, z kraju Papieża Jana Pawła II. To

było faktycznie dosyć wzruszające przeżycie. Skoro jednak pogoda się nieco poprawiła udało mi się w końcu wylecieć z wioski i wrócić do Bethel, aby tam już powoli przygotowywać się do opuszczenia Alaski.

Mój „przystanek Alaska” trwał prawie cztery długie zimowe miesiące. Zaprzyjaźniłem się z cichymi Eskimosami. Nawet kilka piesków udało mi się przeciągnąć na moją stronę, wypróbowanymi wcześniej sposobami, czyli na kawałek zmarzniętej ryby. Oglądałem miejsca tak śliczne i przerażające zarazem, o których nigdy nie zapomniałem i już nie zapomnę. Doświadczyłem tego, co nazywają „żyć w zgodzie z przyrodą”. I tylko Pan Bóg jeden wie, jak bardzo wdzięczny Mu jestem za takie właśnie doświadczenia.

Na pewno nie zapomnę Wielkiej Soboty w Marshal. Była godzina dziewiąta wieczorem, a więc czas na Apel Jasnogórski. Właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że w Polsce pewnie ruszają procesje rezurekcyjne. Różnica czasu między Alaską a Polską to dziesięć godzin. Procesje rezurekcyjne w Polsce, radosne poranki, kwiatki i pierwszokomunijne dzieci, kwitnące drzewa owocowe w ogródkach działkowych na Mokotowie w Warszawie. Śpiewy i orkiestry dęte, specjalnie na Rezurekcję przygotowane.

A tam na Alasce, po drugiej stronie kuli ziemskiej, w wiosce Marshal siedziałem w moim małym eskimoskim domku sam jeden. Jeszcze wiało mocno przed Niedzielą Zmartwychwstania. I nic nie mówiłem, tylko sobie cichutko nuciłem – „Wesoły nam dzień dziś nastał...”. Nuciłem po polsku.

Noc nadchodziła. A za oknem było zimno, wszystko zmarznięte, żywej duszy nie widać. Myślałem

wtedy, że przecież Nasz Pan dla wszystkich
zmartwychwstał, a więc i dla tych moich maleńkich
Eskimosów też.



Postanowiłem, że przygotuję radosną homilię, tak
żeby mój diakon Edwin równie radośnie przetłumaczył ją
na język swoich ziomków, na Yupik. I tak się też stało!

Marek Sokołowski SJ

O. Marek Sokołowski SJ, ur. 26 czerwca 1952 w Ciechanowie. W 1971 roku wstąpił do Towarzystwa Jezusowego. Studia filozoficzne odbywał w Krakowie, teologiczne w Warszawie. Świecenia kapłańskie otrzymał 31 lipca 1979 roku. Studia specjalistyczne z teologii duchowości zakończone doktoratem, kontynuował na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Był duszpasterzem akademickim w Toruniu, Szczecinie, Lublinie i Warszawie. Kursy formacyjne i praktyki duszpasterskie odbywał we Włoszech, Meksyku, Anglii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Od 1997 roku jest wykładowcą teologii duchowości na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie. Jest kierownikiem Katedry Teologii Duchowości i Teologii Pastoralnej. 20 grudnia 2008 roku otrzymał tytuł naukowy profesora nauk teologicznych. Autor ponad stu książek i artykułów z zakresu teologii duchowości.

Parafia Zbuczyn

Osiadła na tym terenie szlachta była najczęściej biedna, a jej przedstawiciele zwykle byli właścicielami części (działów) wsi, stąd powszechnie spotykamy występujący w księgach metrykalnych dopisek “nobilis”, a rzadko “generosus”, który zarezerwowany jest dla właścicieli całych wsi lub większych majątków. Często też przedstawiciele szlachty nie wiedzieli, jakiego herbu mają używać. Wielu z tych rodzin trudno szukać w herbarzach, a jeżeli już się tam pojawiają, to najczęściej są błędnie zaliczani do zupełnie innych rodzin, jedynie o tym samym nazwisku. Jednak będąc osiadłymi na tym terenie “z dziada pradziada” są zwyczajowo zaliczani do tzw. “szlachty starożytnej” lub “odwiecznej”.

Miejscowości parafii zbuczynskiej

W księgach parafialnych spotykamy wpisy z następujących miejscowości: Borki (-Kosioriki, -Kosy, -Sołdy, -Świerce, -Wyrki), Bzów, Chromna, Cielemęc, Ciosny, Czuruły (Czuryły), Dziewule, Grodzisk, Hojew, Iwanów (-Kijki, -Przywary), Izdebki (-Błazeje, -Guzy, -Wąsy), Jasionka, Kornica, Kośmidry, Krzesk Królowa Niwa, Lipniaki, Łazy, Ługi (-Gołacze, -Wielkie), Maszczybrody, Modrzew, Nowa Wieś, Okniny, Olendy (Olędy), Ostoje, Paduchy, Pióry (-Pytki, -Wielkie), Pogonów, Radomyśl, Radzików (-Oczki, -Stopki, -Wielki), Rętki, Rowce, Ruda, Rzążew, Sobicze, Stok Wiśniowski, Stopki, Tarcze, Tchórzew Plewki, Wesółka, Wielgórz, Wiśniów, Wólka Kamienna, Zabłocie, Zawady, Zbuczyn, Zdany, Żabokliki, Żurawiniec.

W księgach metrykalnych zdarzają się także

niezadkie wpisy z wsi: Kosierady, Krasusy Konopna Wola, Krasusy Łęcznowola, Mikłusy, Myrcha, Smolanka, Zembry (Krasusy Zębry) czy Zaolszynie.

Szlachta parafii zbuczyńskiej

Wśród stale powtarzających się nazwisk szlachty parafii zbuczyńskiej spotykamy w księgach metrykalnych następujące: Borkowski, Bzowski, Celiński, Chojewski (Hojecki), Cieszkowski, Chromiński (Hromiński), Cybulski, Czyrski, Dąmbrowski, Dmowski, Dobrowolski, Domański, Dziewulski, Gorski, Grochowski, Grodzicki, Izdebski, Jasiński, Jastrzębski, Jezierski, Jeżowski, Kalicki, Kowalewski, Krasuski, Krzeski, Lipiński, Łazowski, Modrzewski, Nowosielski, Okniński, Olszewski, Orze(y)łowski, Ostojski (Ostoycki), Pióro, Pogonowski, Radomyski, Radzikowski, Rudnicki, Rzążewski, Sarnecki, Siostrzytowski, Skolimowski, Skowroński, Sobiczewski, Strus, Tarczewski, Tarkowski, Tchorzewski, Treliński, Turobiński, Wielgorski, Wysokiński, Zabłocki, Zalewski, Zdanowski, Żurawski.

Jednocześnie lektura wpisów do ksiąg metrykalnych od końca XVI do początku XIX wieku pokazuje proces tworzenia nowych nazwisk. Na terenie parafii mieszkaly liczne i licznie rozrodzone rodziny szlacheckie. Dla rozróżnienia licznych gałęzi tych rodzin ich przedstawicielom nadawano różne przydomki. Bez ich znajomości, czytanie ksiąg metrykalnych i właściwe interpretowanie wpisów jest bardzo utrudnione, gdyż z czasem niektóre z tych przydomków zaczęły żyć “własnym życiem” i stały się samodzielnymi

nazwiskami. W parafii zbuczyńskiej spotykamy Chromińskich h. Lubicz z przydomkiem Ołupski. Otóż w 1664 r. Jakub Chromieński dicti (zwany) Ołupski, dziedzic na Szczepankach, ożenił się w parafii Trzebieszów z Elżbietą [N]. Trudno dziś dociec genezę przydomka Ołupski. Z drugiej strony, w 1693 r. odnotowujemy w parafii Trzebieszów akt chrztu Józefa, syna Marcina Głuchowskiego dicti Chromińskiego, dziedzica części dóbr Krasuse Miklusze. Jak zatem widać, raz Chromiński był nazwiskiem, raz przydomkiem. Zastanawia i zadziwia łatwość, z jaką zmieniano tę kolejność. Niewykluczone, że powód był bardzo prozaiczny – nazwiska były tworzone odmiejscowo, czyli od nazwy miejscowości. Zatem Celińscy mieszkali w Celinach, Nurzyńscy w Nurzynie, a Chromińscy – w Chromnej. Kiedy jednak jeden z Chromińskich przeprowadził się do Głuchowa mógł zmienić na nazwisko na Głuchowski. Nazwisko traktowano bowiem jako coś w rodzaju adresu, wskazującego na aktualne zamieszkanie.

Podobną sytuację zaobserwowałem w XVIII wieku w rodzinie Strusów. W tym samym czasie jeden Kazimierz Strus mieszkał w okolicy szlacheckiej Krasusy (parafia Trzebieszów), a drugi Kazimierz Strus we wsi Ługi (parafia Zbuczyn). Dla ich odróżnienia pierwszego w księgach metrykalnych pisano jako „Strus Krasuski”, a drugiego jako „Strus Ługowski”. W kolejnych pokoleniach część z ich potomstwa występowała już pod nowymi nazwiskami: Krasuski lub Ługowski. Jest to zarazem cenna uwaga dla genealogów, którzy będą odtwarzać dzieje rodu Chromińskich, aby bacznie

zwracali uwagę na wszelkie przydomki i nie dziwili się, że nagle jeden z przedstawicieli rodu im „znika” z właściwego nazwiska.

Przydomek zatem miał dla wielu rodzin znaczenie większe niż nazwisko. Wiele osób noszących nazwiska, które obecnie funkcjonują w lokalnej społeczności, w rzeczywistości ma pochodzenie szlacheckie – aby to udokumentować potrzebna jest jedynie staranna i głęboka kwerenda w parafialnych księgach metrykalnych.

Parafia zbuczynska była bardzo dużą parafią i zachowało się wiele ksiąg metrykalnych. Niestety, nie udało mi się dokonać zestawienia przydomków nazwisk szlacheckich z jej terenu. Zestawienie przydomków, opracowane na podstawie wpisów do ksiąg metrykalnych sąsiedniej parafii trzebieszowskiej z lat 1585-1825, prezentuje poniższa tabela:

<i>Nazwisko</i>	<i>Przydomki</i>
Celiński	Pytka, Mysław, Spodar, Brodka, Wuk, Marcinowic vel Marcinkowicz, Łabędź, Walendowicz, Michalik, Gromek, Drozd vel Druzd, Goździk, Oleksiuk vel Olexyk, Gaworek, Sulejczyk, Jakubowicz, Zaręba, Ignowicz, Walentowicz, Kurek
Głuchowski	Żyłka
Grochowski	Gąsiorcik, Macieykowic, Zabłotny, Lenartowicz, Gruszczyk, Piotrowicz, Bartosiak, Luśnia, Czarny, Kosut, Michałowicz, Łukaszewicz, Markowicz, Zabłotni
Jastrzębski	Zycuk

Karwowski	Świąder, Stachnik, Sochnik, Ochnitowicz, Ignik, Suley, Groda, Swiedro, Jodzik, Jonik, Mscich, Maychrzak, Jonik, Piotrowicz
Krasuski	Kozanek, Mikłus, Starus, Siwiec, Kozanek, Kisieliński, Wielgolas, Cześlik, Strączek, Magdalon, Przedzoma, Wawrzyńczyk, Głowczy, Szczęśniak, Konieczny, Chudziak, Puskarz, Wytrykus, Zyżkowicz, Wilkowicz, Synowic, Woronioch, Wolański
Krzymoski	Wośko
Kurowski	Gębula, Taborek, Zbros, Łuszczczyk, Cybulka, Tysiączek, Pluta, Chrzczon, Cieślik, Zagroba
Leszczyński	Jakubik, Lenartowicz, Sobi(e)chowicz, Serafin
Mościcki	Adamcik, Kozak, Gołozuch, Purgacz, Szuba
Olszewski	Ciarko, Swigon, Abrachamik, Wieprzek, Wieprzkowicz, Motyka, Świgoń, Welenka, Zychowicz, Lenartowicz, Abramik, Koziełek
Popławski	Szczerbik, Piotrowicz, Zasiadnik (?), Łukaszczyk, Żołnierzewicz, Głęb
Radzikowski	Kalczyk
Rogała	Rudzinski
Sobiczewski	Heyko
Szaniawski	Mitosik, Gołos, Gołda, Szoldak, Osiołek, Walendzik, Soldon, Ryndziak, Junosza, Brodzik, Sałaman, Smerga, Skrzek, Kramek, Morawiec, Broda
Szczygielski	Gołębiowski
Turski	Piskorz, Zawisza, Kostrzybała, Król
Wierzejski	Skup, Przedwieprzek, Ruban, Lebioda, Piechnik, Kosiorek, Król, Opas, Prus, Urban, Buś, Ignowicz, Sichnik vel Szuchnik, Pieniążek

Wysokiński	Zychowicz, Kosut, Nadol, Augustynek, Sulan, Przedbór, Michalik, Janowicz, Zembrzyk, Zagroba, Misiewicz, Uziębło, Mróz, Luśnia vel Luśnik, Mąka vel Mączyk, Kominek, Chlebionek, Jagielka, Tomkowicz, Kraszczyk, Kamady, Nadoł
------------	---

Oprócz wyżej wymienionych, inne przydomki rodzin szlacheckich z tego terenu znaleźć można w Rejestrze pogłównego za 1676 rok:

<i>Nazwisko</i>	<i>Przydomki</i>
Celiński	Dąmbrowicz, Spodarek, Witek, Mikłasz, Michałowicz, Sądek, Konstantynowicz, Kurek, Konieczny, Łyka, Subczyk
Dąbrowski	Dziadek, Lenarcik, Grzebisz, Zając, Bernacik
Karwowski	Markowicz
Krasuski	Krzanek, Tanauk, Nakonieczny, Kosiorek, Korzak, Krzyszcza
Mościcki	Wnuk, Adamczyk
Nurzyński	Tomczyk, Szywiec, Niesławowicz, Bartoszewicz
Rola	Ciołek, Szymkowicz, Zakowicz, Ławecki, Hodzik, Horyanik, Kornicki, Skosiek, Krupka, Głodek
Szaniawski	Służek
Szczygielski	Goleńczyk, Grzegorzółka
Świdorski	Miśkowicz, Kruczek
Wierzejski	Siugania
Zaleski	Matczyk, Jóźwik, Zakowicz

Robert Wiraszka

Zwroty grzecznościowe szlachty

„Panie Bracie” - zwrot używany w szlacheckiej Rzeczypospolitej przez szlachciców wyżej postawionych wobec niżej postawionych. Nie wolno było odezwać się tak właścicielowi działu wsi lub nawet całej wsi wobec magnata,

„Waszmość / Waszmość Pan” - zwrot stosowany w przypadku dużej zażyłości między stosującymi go, w sytuacji gdy obaj szlachcice byli sobie równi. Zwykle zwrotu tego używał szlachcic stojący wyżej w hierarchii społecznej wobec niższego sobie; lub też używał go szlachcic, który świadomie chciał obrazić kogoś postawionego wyżej,

„Waszmości Panie / Panie Dobrodzieju / Pani Dobrodziejko” - zwrot używany przez dzieci względem rodziców lub niżej stojących społecznie wobec ważniejszych,

„Jaśnie Wielmożny Panie / Mości Dobrodzieju” - stosowany w *incipit* listu pisanego przez niższego rangą do ważniejszego,

„Wielce Miłościwy Panie i Kochany Bracie” - stosowany w *incipit* listu pisanego przez ważniejszego do niższego ważnością,

„Kreśli się uniżony sługa i życzliwy / kochający brat” - zakończenie listu ważniejszego rangą społecznego do mniej ważnego,

„Ściskam nogi” - zakończenie listu szlachty niższej rangą do ważniejszej,

„Ty” - tak bezpośredni zwrot był traktowany jako obraźliwy, nawet u najuboższego szlachcica mógł być podstawą do sądzenia lub pojedynkowania się.



Robert Wiraszka

Ocalić od zapomnienia

Wakacje w 1939 roku zbliżały się do końca. Maria - siedemnastoletnia dziewczyna - nieduża, szczupła, ładna, o wyjątkowo pięknych nogach, zielonkawych oczach i ciemnych włosach była w Truskawcu. Jak co roku w czasie wakacji wyjechała z mamą z Jasła do Truskawca do starszej, już zamężnej siostry Zuzanny, która wraz z mężem i rocznym synkiem mieszkała w pensjonacie "Tadeusz" w wynajmowanym mieszkaniu. W mieście nie było dużo rodzin polskich, większość mieszkańców stanowili Ukraińcy.

1 września 1939 r. Niemcy napadli na Polskę i rozpoczęła się okrutna, trwająca prawie sześć lat wojna. Po wkroczeniu Niemców mężczyźni Polacy opuszczali swoje domy i uciekali na wschód szukając schronienia przed okupantem. Ukraińcy korzystając z wojny chcieli jak najszybciej rozprawić się z Polakami. Do mieszkania Zuzanny weszli Ukrainiec i żołnierz w niemieckim mundurze. Ukrainiec domagał się od Niemca natychmiastowego rozstrzelania wszystkich. Okazało się, że w mundurze niemieckim był Austriak. Widząc kobietę z maleńkim dzieckiem, młodziutką dziewczynę i starszą panią ulitował się (może w domu zostawił żonę z dzieckiem?) i kazał zostawić je w spokoju - życie zostało ocalone.

Nadchodziła noc, podczas której Ukraińcy mieli mordować Polaków, ale w pierwszej kolejności zajęli się rabowaniem polskich sklepów. Tymczasem wojsko polskie cofnęło się ze Stryja i weszło do Truskawca a nasi żołnierze podjęli walkę z Niemcami. Maria z rodziną nie mogły dłużej zostać w tym mieście, należało dla

bezpieczeństwa przenieść się do większego - do Drohobycza.

17 września wojska sowieckie wkroczyły na naszą ziemię. Żołnierze sowieccy w Drohobyczu co noc wpadali do mieszkań Polaków, nazywano to sprawdzaniem dokumentów i zaczęły się masowe wywózki na Sybir do łagrów. Z Drohobycza trzeba było uciekać, najlepiej do Jasła do swojego domu, do dalszej rodziny i znajomych.

Krewna męża Zuzanny, śliczna dziewczyna zakochała się w oficerze sowieckim, była to miłość odwzajemniona. On dla niej postanowił ułatwić Marii z rodziną ucieczkę z Drohobycza. Bez jego pomocy wyjazd byłby niemożliwy. Bardzo wczesnym rankiem doprowadził ich na stację i wsadził do pociągu, który jechał do "granicy" rosyjskiej i niemieckiej czyli do Przemyśla.

W Przemyśle był duży most na Sanie, połowa Przemyśla należała do żołnierzy sowieckich a druga połowa do żołnierzy niemieckich. Niemcy od razu oddzielali starców i dzieci od młodych. Utworzyli kolumny i tak w szeregach zaprowadzono Polaków do pociągu. Pod konwojem niemieckim dojechali do Krakowa. Padał ulewny deszcz, przemoknięci ludzie zostali doprowadzeni do szkoły, która była tymczasowym obozem. Na podłodze była rozrzucona słoma, na której można było usiąść i poczekać do rana. Mokre rzeczy parując wysychały na ludziach. Rano osobno kobiety i osobno mężczyźni zostali przymusowo zaprowadzeni do łaźni, a ubrania zostały zabrane do odkażania. Niemki nakładały na włosy Polek i Polaków płynne szare mydło specjalnie w ten sposób żeby dostawało się do oczu i puszczały ukropowatą wodę.

Potem nagie Polki stawwały przed komisją, która decydowała o tym kto ma być wywieziony do obozu koncentracyjnego, a kto na roboty do Niemiec.

Maria, która była katoliczką i osobką bardzo wierzącą modliła się do Matki Boskiej o pomoc. W czasie zadawania jej przez Niemców pytań powiedziała, że ojciec jej zmarł na gruźlicę i że rodzeństwo ma też tę chorobę, co nie było prawdą. Stał się cud, została zwolniona i mogła wrócić do domu do Jasła. Było to tak nieprawdopodobne że sądziła iż na zewnątrz zostanie zastrzelona. Idąc do pociągu nie mogła uwierzyć że żyje i dopiero w pociągu zrozumiała, że jest wolna.

W domu zastała matkę i siostrę Zuzannę z małym synkiem, nie było szwagra. Okazało się, że on też był na tej komisji w Krakowie i został wysłany do obozu. Zginął w Buchenwaldzie. Zaczęły się okropne dni okupacji.

Maria mogła skończyć ostatni rok gimnazjum kupieckiego, bo tylko szkoły zawodowe miały pozwolenie Niemców na nauczanie. Bardzo szybko po tym dostała nakaz wyjazdu na roboty do Niemiec. Los uśmiechnął się znowu. Serdeczna koleżanka Marii miała ciotkę, która musiała przyjąć na kwaterę do swego ładnego domu Niemca. Był on oficerem i szefem urzędu pracy - Arbeitsamtu. Wstawiła się za Marią i decyzja wyjazdu została anulowana. Maria dostała pracę w sklepie - w domu towarowym w dziale tekstylnym.

I tak mijały miesiące, gdzie było głodno, chłodno, ale życie trwało.

Nastał rok 1943. Jasło na skutek walk Niemców z Rosjanami zostało wysiedlone. Ukraińcy na koniach służący w armii niemieckiej poganiali ludzi

przechodzących przez okoliczne wsie, które nie były wysiedlone. Nikt nie wiedział jaki los go czeka. Ludzie nieśli najniezbędniejsze rzeczy, tylko tyle ile można było zapakować do toreb lub waliz i które można było unieść. Było lato, gorący, słoneczny dzień, a oni mieli na sobie ciepłe płaszcze, futra bez których w zimie nie można byłoby przeżyć. Kolumna ludzi posuwała się naprzód pilnowana przez Ukraińców, którzy jechali na koniach. Mijano wieś Czełuśnicę. Dobrzy ludzie - gospodarze, którzy tam mieszkali uchylali furtki do swoich obejść, ażeby dać możliwość ucieczki z konwoju i udzielić uchodźcom schronienia. Tymi którym udało się uciec z szeregów (kiedy Ukraińiec odwrócił się w drugą stronę) byli Maria i jej siostra Zuzanna z synkiem. Gospodarz ukrył je na pięterku w stodole w sianie. Rankiem wywiózł ich chowając na wozie z sianem do następnej wsi - do Święcan. Spieszył się bo Niemcy z Ukraińcami szukali uciekinierów w Czełuśnicy. Marii z rodziną udało się szczęśliwie i bezpiecznie dotrzeć do Święcan. Tam znalazły schronienie u dobrych ale biednych ludzi, którzy mieszkali w chacie krytej słomą, a podłoga była klepiskiem. Chata miała trzy izby - jedną zajmowali gospodarze, drugą Maria z siostrą i jej synkiem. Na łóżku spała Zuzanna z dzieckiem, na klepisku na starym kożuchu gospodarczy spała Maria. W trzeciej izbie mieszkała krowa, która dawała mleko, a gospodyni robiła z niego ser i masło.

Maria wiedząc, że mama została w Jaśle postanowiła pójść po nią do wysiedlonego miasta. Mijając niemiecki posterunek obiecała żołnierzowi że w powrotnej drodze przyniesie mu litr spirytusu, jeżeli ją wpuści do miasta i pozwoli z powrotem odejść z matką. Maria mówiła

dobrze po niemiecku, miała zdolności do nauki języków, a niemieckiego uczyła się w szkole. W Jasle o spirytus było łatwo, wyciekał on wybetonowanymi rynienkami z uszkodzonej gorzelni.

Rzeczywiście darowany litr spirytusu pomógł. Obie szczęśliwie przyszedł do Święcan.

Gospodarze z chęcią im pomagali. Maria pamięta, jak gospodyni przez wiele dni ubijała w maselnicy śmietanę robiąc z niej masło, aż miała taką jego ilość, że mogła za nie kupić mężowi buty. Gospodarz tak cieszył się butami, że całą noc nie spał tylko je oglądał i przymierzał. Byli biednymi ludźmi, ale o bogatych sercach.

Wkrótce okazało się, że w tej samej wsi zamieszkał brat Marii Stanisław z żoną Walerią. Stanisław był krawcem, drugi brat Antoni był w Warszawie - przed wojną ukończył prawo we Lwowie. Po krótkim pobycie w Święcanach wszyscy postanowili pojechać do rodziny Walerii do Kalwarii Zebrzydowskiej. Dotarli na miejsce szczęśliwie. Stanisław szcieniem zarabiał na jedzenie. W Kalwarii Zebrzydowskiej wszyscy doczekali zakończenia wojny.

Tam Maria poznała swojego przyszłego męża Antoniego i tam wzięli ślub 24 czerwca 1945 roku w maleńkim kościółku "grobek Matki Bożej". Młodzi, zakochani, szczęśliwi zdecydowali się na wyjazd na Ziemię Odzyskaną aby tam rozpocząć nowe małżeńskie życie. Maria nie miała gdzie wracać, bo Jasło Niemcy zburzyli w 93%. Wybrali Wrocław.

Pierwsze tygodnie pobytu nie były łatwe, jeszcze nie wszyscy cywile niemieccy opuścili miasto, wieczorem słychać było strzały - to żołnierze niemieccy ukryci w gruzach strzelali do Polaków. Później przyszła epidemia

czerwonki, było dużo wypadków śmiertelnych. Maria i Antoni pokonali tę chorobę.

Zaczęli pracować - Maria była urzędniczką w starostwie, Antoni jako kelner został zatrudniony w hotelu Monopol. Urządzili też już swoje mieszkanie. Życie Wrocławia i jego mieszkańców powoli zaczynało się normować.

W 1948 roku przyszedł na świat ja -Ewa. Maria i Antoni to moi rodzice. Przez czternaście lat mieszkałam we Wrocławiu. Tam ukończyłam szkołę podstawową i pierwszą klasę liceum ogólnokształcącego. Przez siedem lat szkoły podstawowej chodziłam dwa razy w tygodniu na lekcję nauki gry na pianinie. Lekcje religii były początkowo w szkole, później (pamiętam zdejmowanie ze ściany w klasie krzyża) w salkach katechetycznych przy kościele.

Po śmierci matki mojego taty siostry jego spłaciły przysługującą jemu część spadku. Rodzice wzięli pożyczkę budowlaną i z pomocą brata mamy, który był adwokatem i mieszkał w Warszawie, zaczęli tam budować dom. Dom został wybudowany i był jak na owe czasy duży. Był spełnieniem marzeń. Miał trzy pokoje, kuchnię, łazienkę, ubikację, klatkę schodową, był piętrowy i stał w ogrodzie.

Wiedzieliśmy, że niedługo czeka nas przeprowadzka. Było późne lato, coraz bliżej było do początku roku szkolnego.

Był 14 sierpnia 1962 roku kiedy to z rodzicami, młodszą o trzy lata ode mnie siostrą Barbarą, babcią Heleną i psem Barusiem opuszczałam Wrocław przenosząc się do Warszawy. Nie byłam zachwycona

przeprowadzką, byłam pełna obaw, ale też i ciekawa nowego życia.

We Wrocławiu mieszkałam na trzecim piętrze, w dużej kamienicy, w centrum miasta. Warszawska Sadyba (i jej okolice) wydawała mi się jakimś letniskiem. Małe domki stojące w ogrodach, wąziutkie ulice, większość z nich nawet nie wybrukowana. Większa, asfaltowa ulica nazywała się Aleja Sobieskiego i w pobliżu niej mieszkałam. Była to ulica jednopasmowa, wysadzana po obydwu stronach pięknymi, roslymi topolami. Po jej drugiej stronie były małe parterowe domeczki, rosły drzewa owocowe, rozciągały się hen daleko podmokłe łąki na których wiosną zakwitały kaczeńce, kumkały i skakały żaby oraz pasły się krowy. Niedaleko nas były pola obsiane zbożem w którym czerwieniły się maki. Miałam wrażenie że przyjechałam na wieś.

Do szkoły do drugiej klasy liceum ogólnokształcącego poszłam w Wilanowie. Trzeba tam było dojechać autobusem 140, który jeździł ulicą Sobieskiego raz na pół godziny. Trasę miał z Placu Unii Lubelskiej przez Wilanów do Powsinka. Tam była pętla autobusowa. To był jedyny autobus który kursował aleją Sobieskiego. Drugą wyasfaltowaną ulicą na Sadybie była ulica Powsińska. Jeździły nią tramwaje: nr 2 i 33 do Wilanowa oraz 16 do pętli na Sadybie. Było do nich od nas dalej niż do autobusu.

Wysiadałam ze 140 w Wilanowie i przez tory kolejki wąskotorowej, obok budynku stacji (teraz jest tam poczta) spieszyłam do szkoły. Kolejka kursowała z Wilanowa do Piaseczna i z powrotem. Tą kolejką przyjeżdżała do szkoły większa część moich koleżanek i kolegów. W drzwiach szkoły przeważnie stał pan

dyrektor ucząc nas w ten sposób punktualności. Te lata szkolne miło wspominam. Niedawno był zjazd z okazji tego, że minęło 50 lat jak zdawaliśmy maturę - w maju 1965 r. Teraz staliśmy w holu szkoły przy wmurowanej marmurowej tablicy upamiętniającej zasługi naszego dyrektora. Mieliśmy teraz po 67 lub 68 lat, ale w mojej pamięci wszyscy pozostaną na zawsze jako młodzi chłopcy i dziewczęta, koledzy i koleżanki ze szkolnej ławy.

Na lekcje religii chodziłam do kościółka - kaplicy pod wezwaniem św. Tadeusza Judy przy ul. Goraszewskiej. Była to moja parafia. Nauka odbywała się w salkach katechetycznych, a sam kościół mieścił się w przedwojennej willi. We Wrocławiu moją parafią była parafia św. Michała z ogromnym, zbudowanym w stylu gotyckim kościołem. Kościół św. Tadeusza nie wytrzymywał porównania z kościołem św. Michała. Minęły trzy lata. Zdając maturę miałam 17 lat. Na prawo na Uniwersytecie Warszawskim zdawałam dwa razy - ale bez powodzenia. Wybrałam pomaturalną szkołę kosmetyczną przy ul. Smolnej u pani Marii Kasperskiej. Były to dwa lata nauki - drugi rok był praktyką w gabinecie kosmetycznym. Dostałam się na praktykę do najnowocześniejszego, jak na tamte czasy, gabinetu kosmetycznego - nowo otwartej Polleny na "ścianie wschodniej". Później przez prawie czterdzieści lat prowadziłam na Sadybie swój gabinetik kosmetyczny.

Po sąsiedzku wyszłam za mąż za Stanisława Chromińskiego, wówczas studenta trzeciego roku na wydziale chemii na Politechnice Warszawskiej. Ślub nasz odbył się w dwóch terminach - cywilny 7 marca 1967 r., a kościelny 27 marca 1967 r. w kościele który

jest zabytkiem klasy zerowej i mieści się przy placu Bernardyńskim. Jest to kościół ojców Bernardynów. Było to w drugi dzień świąt Wielkanocy na sumie o godz. 11.30. Mszę odprawiało i udzielało nam ślubu trzech księży. Na zjeździe (50 lat po maturze) koledzy wspominali, że stali wtedy pod organami i było bardzo, bardzo długo. Ja pamiętam moje zdumienie, kiedy mój wychowawca składając mi życzenia i gratulacje pocałował mnie w rękę. Zawsze darzyłam go szacunkiem mając jednocześnie respekt jak uczennica w stosunku do nauczyciela.

Dwunastego stycznia 1968 r. urodziłam ślicznego, zdrowego synka, daliśmy mu na chrzcie świętym imiona Andrzej Wojciech. Moja babcia Helena koniecznie chciała, żeby jej prawnuk miał na pierwsze imię Wojciech, ale ja miałam własne zdanie - będzie Andrzej, bo uważałam że jest to piękne imię. W ciepłych miesiącach z mężem i synkiem w wózek lubiłam się wybierać w niedzielę do kościoła św. Katarzyny na mszę świętą. Nie szliśmy ulicą Bonifacego, która była wysypana żwirem i miałkim węglem. Była wąska i jeździły po niej przeważnie furmanki wioząc warzywa i owoce na targ przy ulicy Dolnej. Do kościoła szliśmy pełną dróżką wśród zbóż i traw.

Od skrzyżowania ul. Sobieskiego z Dolną aż do Wilanowa było prawdziwe pustkowienie. Można było zobaczyć ze trzy przedwojenne wille. Między ul. Truskawiecką a Bonifacego wybudowano domy jednorodzinne - segmenty. Budowa ciągnęła się w stronę ulicy Powsińskiej. Na Orężnej stało kilka przedwojennych domów. Sklepów z tej strony Sadyby nie było, przy Powsińskiej znajdowały się trzy małe

sklepiki - jeden spożywczy i dwa z jarzynami i owocami oraz cukiernia. Na poważniejsze zakupy trzeba się było wybierać autobusem 140 na Plac Unii Lubelskiej, gdzie był niedawno otwarty, bardzo duży jak na tamte czasy, sklep spożywczy Super Sam. Jeżeli nie zdążyło się na autobus to trzeba było czekać trzydzieści minut na następny. Szczególnie uciążliwe było to w zimie.

Mijały lata.

Ulica Sobieskiego została przebudowana, poszerzona o drugie pasmo jezdni. Rozpoczęto i skończono budowę Stegien. W czasie odwadniania terenów pod budowę zostały zniszczone topole. Posadzono nowe drzewa. W dawnych polach "urośli" wieżowce i czteropiętrowce. Plan zagospodarowania Stegien zielenią powiódł się bardzo dobrze. Dzisiaj osiedle Stegny stoi wśród pięknych drzew, krzewów i trawników. W stronę Wilanowa wybudowano duży szpital - Instytut Psychiatryczno-Neurologiczny, a po drugiej stronie ul. Sobieskiego stało dużo domów.

Czas posuwał się naprzód. Nasz syn Andrzej ukończył na Politechnice Warszawskiej informatykę i jest mgr inż. informatykiem. Obdarował nas trzema wnuczkami (same dziewczynki) - każda z nich jest inna, mają różne zdolności, różną urodę, ale wszystkie są szlachetne, dobre, mądre i ładne. Najstarsza Agnieszka ma 22 lata, Beata 21, a Helena 11.

Sadyba i Wilanów zmieniają się w dalszym ciągu. Na przecięciu ul. Sobieskiego i Al. Wilanowskiej zrobiono nowoczesne skrzyżowanie i ulicę III Rzeczypospolitej, która jest przedłużeniem ul. Sobieskiego. Po obydwu stronach tej ulicy buduje się duże osiedle Wilanów II. Nad wszystkim króluje i góruje Świątynia Opatrzności

Bożej. Są sklepy mniejsze i duże zarówno w pobliżu ul. Sobieskiego, jak i Powsińskiej. Wybudowano trzy kościoły. Jeden, pod wezwaniem św. Tadeusza Judy, powstał na przykościelnym terenie obok poprzedniego, który jest teraz plebanią. Drugi powstał na Stegnach przy ul. św. Bonifacego. Jego strzelistą, smukłą dzwonnice widać już z daleka. To kościół ojców Marianów, duży i piękny. Ulica św. Bonifacego jest teraz szersza, wyasfaltowana, na skrzyżowaniach ma zainstalowane światła. Trzeci kościół należący do ojców Barnabitów jest przy ul. Sobieskiego, ale już w Wilanowie.

Sadyba i jej okolice tętnią śródmiejskim życiem - to już nie "podmiejska" dzielnica, to miasto Warszawa - stolica. Tylko gdzieś w głębi serca trochę żal tych łąk podmokłych z kaczeńcami i kumkającymi żabami, zbóż z czerwonymi makami, sadów, pasących się krów, kolejki wąskotorowej i tego zapachu, który przypominał pobyt na wakacjach...

A może to żal młodości?

Ewa Chromińska

Ewa jest żoną Staszka z Sadyby, członka założyciela naszego Stowarzyszenia.

Moje wrażenie z pobytu w Przełazach

Pałac w przełazach po raz pierwszy ujrzałam w maju podczas II Zjazdu Rodu Chromińskich. Na ten zjazd przybyliśmy dość licznie - wraz z rodzinami naszych córek Haliny Tatarzyńskiej i Elżbiety Dobryniewskiej. Trzykondygnacyjny pałac urzekł nas neorenesansową bryłą z końca XIX w. Wówczas i teraz jest to siedziba Ośrodka Rehabilitacyjno - Wypoczynkowego.



Piękne położenie pałacu nad zachodnim brzegiem jeziora Niesłysz było ogromną atrakcją dla uczestników zjazdu, zwłaszcza, że zarządza nim środowiec Michał Chromiński. Po dwóch latach ponownie spotkaliśmy się na rodowym zjeździe. To drugie spotkanie było bardziej zażyłe. Po prostu jak w dobrej

rodzinie. Nawiązały się już bliższe więzi z niezwykle interesującymi, serdecznymi, otwartymi i życzliwymi ludźmi. Więzy te trwają i umacniają się do dziś. Czy ja wówczas mogłam przypuszczać, że po raz trzeci znajdę się w pałacu w październiku 2015 na rehabilitacji jako wdowa? Nie! Obecny mój pobyt zawdzięczam opiekuńczej, może nawet nadopiekuńczej córce Halinie. Zauważając potrzeby zdrowotne mamy i teściowej umieściła nas w ośrodku w Przełazach dla polepszenia naszego zdrowia i naszej kondycji fizycznej. Zabiegi rehabilitacyjne i jesienne spacery po pięknym parku nad jeziorem pozwoliły mi oderwać się od miejsca nieustającego żalu i tęsknoty po zmarłym mężu. Ku memu zadowoleniu na rehabilitacji w Przełazach przebywał wraz ze swą rodziną prezes Stowarzyszenia Rodu Sławomir Chromiński. Mąż szanował Go i cenił za ogromną wiedzę historyczną. Sam bowiem interesował się historią a głównie historią II wojny światowej. Na zakończenie wspomnę moje głębokie przeżycie związane z prezentacją dokumentalnego filmu o życiu i twórczości artystycznej Czesława Niemena, które zaprezentowano nam w Przełazach. Muzyka i pieśni Niemena były częścią mego życia. Jako pracownik kultury wiedziałam nieco więcej niż inni o jego problemach i szykanowaniu ze strony „Władzy Ludowej”. Film znacznie pogłębił moją wiedzę i utwierdził w przekonaniu, że Niemen to artysta przerastający czasy w których żył. Artysta ponadczasowy. Pamiętam, że ci którzy cenili i przeżywali jego muzykę, nie mieli lekko, byli często krytykowani. Cenię takich ludzi jak Niemen, za odwagę

Dokumentaliście twórczości Niemena składam za to hołd i podziękowanie.



Będąc pod urokiem uroczego położenia Pałacu, rodzinnej w nim atmosfery, dobrej kuchni, szerokiego wachlarza usług, zajęć kulturalnych i rehabilitacyjnych, poprawiających stan zdrowia wierzę, że powrócę tu i znów spotkam ciekawych, życzliwych, interesujących ludzi. Mam nadzieję, że także współrodowców. Do zobaczenia.! Danuta Chromińska

Danuta
żona ś.p. Ryszarda

Nasi członkowie napisali

To już 9 odcinek wspaniałych wspomnień z dzieciństwa, wojny i lat powojennych naszego nieodżałowanego Ryszarda ze Starego Kurowa.



Wspomnienia kombatanta

Pod wieczór przyjechaliśmy do Rzeszowa. Co będzie dalej byliśmy nieświadomi. Narzekaliśmy na Czudec ale to było nic naprzeciw tego co nas tu czekało. Dowódcą nowo sformowanej kompanii został por. Sylwa. Szefem został sierżant Topolski – Lwowiak, który słynął z powiedzonka „Kurde mol” i z tego, że prawie ciągle nosił w lewej ręce papierosa, sprytnie chowając go w rękaw munduru. To był jego nawyk z frontu. Szefowi zdaliśmy czapki garnizonowe, otrzymaliśmy furazerki z orzełkami. Porobiono z nas nowe drużyny i plutony mieszając młodych ze starym rocznikiem, który szykować się do cywila. Pobraliśmy od zbrojmistra broń, teraz już sprawną bojową. Na drużynę – 10 chłopą, przypadało po 2 RK-my, 4 – pepesze i 4 – karabiny. Mnie przypadła pepesza. Trzeba zaznaczyć, że pluton składał się z 4-ech drużyn, kompania z 4-ech plutonów. Można obliczyć jaki był stan uzbrojenia kompanii. Przy 4-ro

plutonowej kompanii – 160 żołnierzy, było – 32 RK-my, 64 – pepesze, 64 – karabiny. Razem to już była znaczna siła ognia. Wydano nam ostrą amunicję czyli 4-ry magazynki po 50 sztuk na jeden RK-em, 10 sztuk pepeszy i 120 na k.b., do tego po 2 granaty – obronny F-1, zastępczy RG-42. Po capsztyku szliśmy spać. W nocy około godz. 2 – 3 był alarm, ale nie tam jakieś trąbki czy syreny alarmowe tylko taka „cicha” pobudka i zbiórka na placu alarmowym. Zaczęły wjeżdżać samochody ciężarowe, kryte plandeką typu Studebeker. Ładowano na nie jakieś skrzynki. Do mnie zwrócił się jeden z żołnierzy starego rocznika mówiąc „Jasiu (tak zwracano się wtedy do młodego rocznika) biegnij do szefa”. Zapytałem po co? A on śmiejąc się powiedział „Po drugie kalessony, żebyś miał na zmianę”. Szybko został skarcony przez drugiego „starego” żołnierza. Nie będę przytaczał słów, bo były bardzo niecenzuralne. Mnie poklepał po ramieniu i życzliwie się uśmiechnął. Był to pierwszy i ostatni przejaw drwiny w stosunku do młodego żołnierza. Starzy wyjadacze po prostu opiekowali się nami jak dobrzy „wujkowie”.

Kiedy w latach 60-70 słyszałem o tzw. fali w wojsku gdzie tzw. „stare” wojsko terroryzowało młodych znęcając się do tego stopnia, że trudno mi sobie to wyobrazić i uwierzyć, przypominałem sobie starszych kolegów opiekujących się nami. Za czasów mojego wojska to taki facet dostałby kulkę w plecy na pierwszej lepszej akcji i byłoby po fali. Wsiedliśmy na samochody i kolumna ruszyła. Nie wiedzieliśmy dokąd i po co. Wojsko jest takie, że się nie pyta tylko słucha. Zaczęło świtać. Dojechaliśmy do jakiejś rzeki. To był San. Zatrzymaliśmy się przed przeprawą promową. Tym

promem wojsko przepравиło się na prawy brzeg rzeki. Samochody zostały na lewym brzegu Sanu. Za Sanem rozciągały się łąki a dalej było widać zarysy wiejskich zabudowań z kościółkiem czy cerkiewką po środku. Moja kompania szła przez łąki okrążając wieś z prawej strony. W pewnej chwili rk-emiście, amunicyjnemu żołnierzowi i mnie kazano zostać na małym wzgórku. Otrzymaliśmy rozkaz – nikogo nie przepuścić ze wsi, do uciekających strzelać. Ot i wszystko. Zrozumiałem, że znalazłem się w grupie osłaniającej. Nie raz przerabialiśmy na ćwiczeniach takie sytuacje. Jeśli wieś zostanie otoczona do wsi „wpadnie” grupa tzw. szturmowa wtedy wiedzieliśmy co robić. Leżeliśmy na tym wzgórku jakieś 1km od wioski. Nie wiem ile czasu minęło, nie mieliśmy przecież zegarków. Od strony promu drogą, na pełnym gazie, przejechało kilka samochodów. Były to nasze Studebekery. Wpadli do wsi i cisza. Potem padło kilka pojedynczych strzałów i znowu cisza. Około południa w naszą stronę szły dwie osoby. Kiedy byli 200m od nas stanęli. Był to mężczyzna z kosą na ramieniu i kobieta z koszykiem w ręce. Postali chwilę i zawrócili z powrotem do wsi, w stronę najbliższego domu oddalonego od nas około 0,5km. RK-emista (żołnierz starego rocznika) kazał mi pójść do tego domku, sprawdzić co to byli za ludzie, którzy szli a potem się wrócili. Pobiegłem do tej chałupy. W sieni dwoje drzwi na lewo i prawo. Z prawej zalatywał zapach obornika. Weszłam na lewo. Jedna izba w której była starsza kobieta. W rogu stało łóżko – wyrko na którym leżał nieogolony blady mężczyzna. Kobieta od razu powiedziała mi po polsku ale z dziwnym akcentem, że to jest bardzo chory syn. Zapytałem czy nikt do niej teraz

nie wchodził. Powiedziała, że nie. Wróciłem z powrotem i powiedziałem co zastałem w chałupie. Zaczynało nam się już nudzić, bo leżeliśmy na tym wzgórku parę godzin. Samowolnie zejść nie wolno. Dopiero późnym popołudniem zaczęto „zwijać” obstawę. Przeprawa promem do samochodów i jazda powrotna. Okazało się, że ta wieś nazywała się Kuryłówka. Jadąc z powrotem przejechaliśmy przez Leżajsk. Potem przez most na Wisłoku, by w Łańcucie skręcić w prawo i jechać do Rzeszowa. Tak przeszedłem „chrzest” pierwszej akcji ścigania upowców. Nie opisuję tego co działo się w środku wsi gdyż nie wiem dlaczego strzelano kto i do kogo. Był tam bowiem inny pluton lub kompania a ja jako zwykły żołnierz nie znałem wszystkich. Opisuję to co sam widziałem i przeżyłem.

W Rzeszowie odłączono żołnierzy starego rocznika a my staliśmy się kompanią szkolną. Dowódcą był por. Sylwa a dowódcami drużyn kaprale. Zakwaterowani byliśmy w długim parterowym budynku. Nie mieliśmy piętrowych łóżek. Wyżywienie „królewskie”. Na śniadanie długie białe bułki, maselko, kielbaska, słodka kawa. Obiad i kolację tak jak wszyscy. Muszę zaznaczyć, że żołd mieliśmy dwa razy większy niż w liniówce. Otrzymywaliśmy 400zł miesięcznie i 300 sztuk papierosów marki Mazur. Papierosy były z munsztukami, mocne jak cholera. Ja nie paliłem. Oddawałem swój przydział kolegom, za co byłem lubiany, bo niektórym dziesięć sztuk dziennie przydziału było za mało. Z czasem zaprzestano dawać papierosy płacąc za nie po 400zł. To było lepsze wyjście, bo skorzystali ci co nie palili. Mieli teraz 800zł miesięcznie żołdu. Wyżywienie było dobre ale „w kość” dawano też dobrze.

Przerabialiśmy wszystko od nowa. Doszła „szermierka”, której nie lubiliśmy. To była głupota po licha to było w tym czasie gdy były szybko strzelne pistolety maszynowe. Kto by się bawił w jakieś szermowanie bagnetem na karabinie. Była to jednak dobra zaprawa fizyczna. Wszystko musieliśmy wykonywać najlepiej. Mówiono nam, że jeżeli sam nie umiesz dobrze to jak będziesz mógł uczyć innych? Na sali porządek był idealny. Łóżka zaścielone równiutko. Wiele razy po przyjeździe z ćwiczeń zastaliśmy wszystko powywracane łącznie z łózkami, bo coś nie było tak jak należy. Mieliśmy jeden przywilej w KBW. Nie strzyżono nam głów do zera. Jeden raz tylko na początku i to nas też wyróżniało. Był jeden przypadek. Ścinano „piórka” za karę. No i stała się tragedia. Kapral – dowódca drużyny na „szkółce” coś przeszkrobał. Dowódca kompani por. Sylwa kazał mu ściąć włosy. Rozkaz wykonał, ale podczas czyszczeni broni, wziął automat, poszedł na poddasze i strzelił sobie w podbródek. Mózg wyleciał czubkiem głowy. Czyszcząc broń usłyszeliśmy krótką serię na poddaszu. Znaleźliśmy kaprała, sanitarką zawieźli do szpitala. Sanitariusze mówili potem, że puls bił jeszcze piętnaście minut. O uratowaniu nie było mowy. Pochodził z Warszawy. Mówiono, że był synem jakiegoś adwokata. Był z rocznika 1926. Był ambitny i nie mógł znieść tego upokorzenia. Ale żeby z powodu włosów strzelić sobie w łeb?

W tym miejscu chcę poświęcić kilka słów o ochotniku z Gorzowa. Był to rodowity poznaniak o nazwisku Kaczmarek – rocznik 1928. Los sprawił, że trzymaliśmy się razem. Musiał być dobrym żołnierzem, bo po przysiędze trafił do kompani szkolnej. Tym samym

był też na tej akcji w Kuryłówce. Był chłopakiem wysokim, zdrowym ale po akcji w Kuryłówce zaczęło coś się psuć ze zdrowiem Kaczmarka. Zaczął chorować, wkrótce nie wiem jak stracił z przodu w górnej szczęce trzy zęby. Zniknął mi z pola widzenia. Chodziła pogłoska, że został zwolniony do cywila. Teraz wybiegnę w przyszłość. Kaczmarek został zwolniony do cywila w październiku 48r. Był trzy miesiące w wojsku. Spotkałem go przypadkowo na pogrzebie zawiadowcy stacji Sarbiewo pana przewoźnego. Pan przewoźny przeszedł operację wstawienia zastawki serca w Łodzi. Operował go słynny kardiolog prof. Moll. Zmarł na stole operacyjnym. Pochowano go na cmentarzu w Zwierzynie w 1975 r. Na pogrzebie było bardzo dużo ludzi. Przybyła orkiestra kolejarzy z Gorzowa. Byli przedstawiciele dyrekcji kolei z Gorzowa. Tu właśnie niespodzianka. Pomiędzy przedstawicielami dyrekcji był „mój” Kaczmarek. Niósł wieniec, na piersi miał odznaki. Różnych blaszek resortowych łącznie z odznaką Przodownika Pracy. Okazało się, że był „szychą” w dyrekcji. Był kadrowcem i członkiem PZPR-u. Pomyślałem „Och ty gieroju, zęby dałeś sobie powyrywać, żeby wyrwać się z wojska. A tu grasz bohatera?” bardzo chciałem z nim porozmawiać. Kiedy doszedłem do niego, to powiedział dość wyniośle, że nie ma o czym ze mną rozmawiać. Zresztą musi jechać, bo mu samochód odjedzie. Drugi raz spotkałem go przypadkowo w 1984r. Jechałem z żoną z Sarbiewa do Kurowa, odwiedzić moją córkę Halinkę. Kiedy wsiedliśmy do wagonu i weszliśmy do przedziału zobaczyłem, że siedzi Kaczmarek z jakąś panią. Okazało się, że z żoną jechali do Poznania. No to przywitałem się

i „pofolgowałem” sobie. Na zapytanie żony skąd się znamy, powiedziałem, że z wojska, że ja i mąż byliśmy „ochotnikami”, z tą różnicą, że mąż po trzech miesiącach „uciekł” do cywila. Ja natomiast zostałem zdemobilizowany w październiku 1950r. „Mój” Kaczmarek wiercił się, czerwieniał, bladł, żona robiła duże oczy dziwiąc się i ciągle mnie wypytywała. A ja odpowiadałem.

Wracam do tematu. Dwa tygodnie po samobójstwie kaprała mieliśmy pogadankę o bitwie pod Lenino. Był październik – rocznica bitwy. Uczestnik bitwy p.por. Us opowiadał nam o swym uczestnictwie. Pochodził on województwa nowogródzkiego a na mnie mówił „ziemlak” czyli krajan. Przypuszczam, że musiał być wywieziony na Sybir, no bo skąd by się tam wziął pod Lenino. Opowiadał on o wsi Pułzuchy i Trigubowej. Porucznik Sylwa w tym czasie siedział sobie i czyścił swój służbowy pistolet typu TT. W pewnym momencie nastąpił wystrzał. Porucznik Sylwa padł na podłogę z rozwalonym kolanem lewej nogi. Zrobił się szum. Zabrała go sanitarka i już go więcej nie widzieliśmy. Mówiono, że amputowano mu nogę powyżej kolana. Mówiliśmy po cichu między sobą, że to kara za kaprała, który się zastrzelił z powodu tych włosów. Szybko przestano o tym mówić bo były inne sprawy, które dotyczyły każdego z nas. Intensywne szkolenie czyli branie „w tyłek”.

Pod koniec października przyszli do kompani szkolnej trzej oficerowie z Informacji. Informacja to było takie wojskowe UB. Z każdym z elewów przeprowadzano rozmowę. Kiedy przyszła kolej na mnie to wszedłem i dziarsko się zameldowałem mówiąc „Elew

Chromiński Ryszard, melduję swoje przybycie”. Kazano mi spocząć. Zaczęły się pytania. Zapytano mnie o pochodzenie. Odpowiedziałem, że mam kłopot z określeniem się, ponieważ pochodzę z rodziny wojskowej. Ojciec też był ochotnikiem tak jak ja z tym, że ochotnikiem w 1920r. Zauważyłem, że dziwnie spojrzeli po sobie. Podziękowali, odmeldowałem się i wyszedłem. Na drugi dzień zostałem przeniesiony z kompani szkolnej do zwykłej kompani strzeleckiej. Razem ze mną jeszcze trzech kolegów. Kiedy wychodziłem z kompani mój dowódca drużyny zapytał „Coś ty przeskrobał, przecież byłeś bardzo dobrym elewem?”. Odpowiedziałem, że nic. Tłukłem się ze swoimi myślami, dlaczego tak się stało. Przyszły mi na myśl te dziwne porozumiewawcze spojrzenia, gdy powiedziałem, że ojciec był wojskowym i też ochotnikiem. Zrozumiałem, że widocznie zabolął ich rok 1920. Za mocno nie żałowałem tej szkoły bo już ta „tresura” zaczęła mi się nie podobać.

W listopadzie moją kompanię przerzucono do Przemyśla. Był tam tzw. batalion operacyjny. Staliśmy w koszarach tuż przy ulicy Słowackiego. Kwaterowaliśmy w długim, dwupiętrowym budynku. Pamiętam wysoki korytarz o łukowatym stropie i sale na których nie było łóżek. Leżały wypchane słomą sienniki jeden obok drugiego, z jednej i drugiej strony Sali a przez środek Sali było przejście. Na korytarzu stały stojaki z bronią i jakieś skrzynie. Później okazało się, że były to skrzynie z amunicją, popakowane w lniane woreczki i kiedy był alarm żołnierz brał swoją broń ze stojaka i mówił KB, pepesza lub RKM i dostawał odpowiedni woreczek z amunicją. Przy drugiej skrzyni pobierał granaty z

zapalnikami. Moją uwagę zwróciła jeszcze jedna rzecz. Na ścianie wykonane były kolorową farbą trzy malowidła przedstawiające portrety dwóch słynnych pilotów myśliwskich – bohaterów związku sowieckiego. Pokryszkin – 62 zestrzelenia niemieckich samolotów i Kożeduba – 49 zestrzeleń. Obok nich była podobizna Jegorowa. Była to uśmiechnięta twarz rosyjskiego żołnierza trzymająca w ręku bat a przed nim posłusznie siedzą na tylnych łapach tygrysy. To była przenośnia. Ten żołnierz ze swej armaty rozbił kilka czołgów typu – Tygrys. Znałem język rosyjski, więc przeczytałem zyskując uznanie kolegów, że umiem czytać po rusku. Okazało się, że przed nami był tam szpital rannych, rosyjskich żołnierzy. Dowódcą naszego batalionu był kap. Dzeń, słabo mówiący po polsku. Salutował całą dłonią a nie dwoma palcami. Jednym słowem wyłaził z niego „Rusek” w każdym geście.

Po paru dniach mego pobytu w Przemyśle do naszych koszar zjechał około 80 poruczników i kapitanów. Byli to milicjanci i funkcjonariusze UB. Na piersi „dyndały” im odznaczenia. Byli oni byłymi partyzantami Armii Ludowej i Gwardii Ludowej. Mieli przejść dwutygodniowe szkolenie rekruckie. Kazano im zdjąć mundury sukienne a ubrano w drelichowe stare sorty, stare kamasze i owijacze. Nasi kaprale – starsi strzelcy a nawet szeregowi, zostali dowódcami drużyn. Zaczęło się szkolenie tej „bandy”. Mieliśmy ubaw, gdy ci porucznicy, kapitanowie nie umieli chodzić. A nasi dostali rozkaz by ich szkolić jak zwykłych rekrutów. Nie mieli gwiazdek na pagonach a jak który chciał dyskutować to była komenda „Pogotowie gazowe”. Trzeba było zakładać maski i był do tego stosowany bieg.

Szybko skończyła się dyskusja i słyszeć było tylko charczenie. Na każdym kroku mówiono im „Tu nie partyzantka, tu wojsko polskie”. To był dla nas ubaw „po same pachy”. Kiedy szli w szyku i padła komenda „Baczność – kompania stój” to kilka czwórek się zatrzymało, reszta wpadała jeden na drugiego. Chłopaki się śmiali zrobili „stój” tak jakby koza na bęben srała. Nie wiem dlaczego ale nie lubiliśmy ani milicji ani ubeków.

Kiedy skończyło się szkolenie to oni za dużo się nie nauczyli, jednak co to jest prawdziwe wojsko - to poznali. Po przebraniu się w swoje piękne, sukienne mundury, wymykali się cichcem, jakby im kto pieprzu na ogony nasypał. Długo jeszcze śmialiśmy się z tego „kursu oficerskiego”. Któregoś dnia rano po śniadaniu, dowódca kompanii por. Antyporowicz na zbiorce batalionu zaczął wybierać wysokich żołnierzy. Wytypował około 80-ciu żołnierzy. Oczywiście z moim wzrostem 185cm też się tam znalazłem. Dano nam jednolite karabinki – wzór 42 z łamanym bagnetem oraz po trzy ostre naboje. Na placu alarmowym zaczęliśmy ćwiczyć bardzo powolny marsz. Potem ćwiczyliśmy strzelanie salwą honorową. W południe marsz i to bardzo szybki ulicą Słowackiego w dół. Potem marsz w uliczkę w lewo, w prawo i zobaczyliśmy orkiestrę wojskową z pułku piechoty, który stacjonował w Przemyślu. Jaki był numer pułku tego nie pamiętam. Stał karawan zaprzężony w parę czarnych koni. Okazało się, że przyszliśmy na pogrzeb prezydenta Przemyśla. Nazywał się Wiślnicki. Po ceremonii w domu – ruszył kondukt. Pierwsza szła orkiestra, potem nasza kompania. Dalszej kolejności nie znam i nie widziałem gdyż szedłem w

pierwszej czwórce. Orkiestra grała marsz Chopina a my maszerowaliśmy w jego takt. Z powrotem wracaliśmy ulicą Słowackiego tym razem pod górę. Gdy orkiestra grała to szło się dobrze. Wiadomo – bęben, lewa noga. Kiedy orkiestra przestawała grać by złapać „oddech” to z tyłu kompanii słyszać było tzw. „drobienie”. Wtedy por. Antyporowicz szedł na tył kompanii i krok znów stawał się miarowy. Szliśmy do samego końca ulicy Słowackiego. Po prawej stronie znajdował się cmentarz. Po przejściu przez bramę orkiestra i my wojsko skręciliśmy w lewo, i szliśmy wzdłuż ogrodzenia. Trumnę poniesiono dalej. Zauważyłem, że było bardzo dużo ludzi. Cmentarz położony był na dużym wzniesieniu. Grób wykopany był na szczycie wzniesienia. Widocznie ktoś dał znak naszemu dowódcy, bo padła komenda „Drugi szereg – krok w tył”, „Trzema – ładuj broń”, „Salwa”. Jeszcze przed komendą „ognia”, porucznik stojąc na jakimś grobie krzyknął „Wyżej lufy – wyżej”. Potem „Ognia” i tak było trzy razy. Wracając z powrotem szliśmy dziarsko w takt melodii „Rozszumiały się wierzby płaczące”. Zbyt długo z orkiestrą nie szliśmy, bo zaraz skręciliśmy w prawo do naszych koszar. W ten sposób brałem udział w pogrzebie prezydenta miasta Przemyśla.

Jeszcze w listopadzie zaczęliśmy „zwiedzać” Bieszczady. W Przemyślu w batalionie operacyjnym była kompania samochodowa. Samochody typu Studebaker, Dodge, Wilys. To były samochody amerykańskie frontowe. Właśnie tymi samochodami jeździliśmy przez Krasieczyn, Birczę aż do Sanoka (około 70km). między Przemyślem a Sanokiem są duże lasy i góry. Samochodami podwożono nas do jakiejś miejscowości.

Dzieliliśmy się na plutony i „czesaliśmy” te tereny. Do plutonu był przydzielony „psiarek” – żołnierz z psem owczarkiem alzackim, wilczurem. Były to bardzo mądre psy. Przewodnik takiego psa miał spory kłopot, bo pies dziennie musiał zjeść pół kilograma mięsa bez kości i sporą michę kaszy. W każdym plutonie była radiostacja typu RZB, wielkości plecaka oraz zasilanie czyli baterie w oddzielnym metalowym pojemniku. Radiostację obsługiwało dwóch żołnierzy. Nazywaliśmy ich „pajakami”. Nie raz byli powodem żartów „Jak cię widzą to cię słyszą”. Bywało, że nieraz nie mogli nawiązać łączności.

W listopadzie i grudniu, na początku zimy 49r., UPA była wprawdzie rozbita. Nie było już kureni, sotni, czot i roi. Jednak niedobitki jeszcze były więc trzeba było tych „rezunów” wykończyć na czysto. Poświęcono dużo środków, czasu i żołnierskiego trudu a zdarzało się, że i życia. Były stosowane pościgi, zasadzki i strzelanina. Objeżdżaliśmy teren, pieszo też nałaziliśmy się nie mało po tych górach i miejscowościach takich jak: Kuźmina, Trzcianiec, Arłamowo, Wojtkowa, Ropieńka. Za laskiem Hoczew, Baligród, Cisna, Wetlina, Ustrzyki Górne. Wtedy jeszcze nie było Zalewu Solińskiego. Znajdowała się tam mała wioska. Nie prowadziłem wtedy żadnych notatek. Nie było na to czasu ale też było to zabronione. Zabroniono również noszenia listów od rodziny.

Ryszard ze Starego Kurowa

Warto wspólnie

Tegoroczny artykuł będzie o wspólnocie, zatem piszemy go wspólnie. Chcemy pokazać, że przynależność do jakiejś wspólnoty może być fascynująca i bardzo wzbogacająca życie nasze i naszych najbliższych.

W przeszłości korzyści i obowiązki wspólnoty dostarczała liczna rodzina. Dziś jest to rzadkość. Zniknęły rodziny wielopokoleniowe, których dobrostan zależał od pokojowego współistnienia, wzajemnej pomocy (i zapewne rozwiniętej sztuki kompromisu) kilku generacji. Dziś lukę tę starają się wypełnić, dając pewne poczucie wspólnoty, media społecznościowe. Dzięki nim mamy poczucie (złudne?), że jesteśmy lubiani, a przynajmniej zauważani, że mamy prawo wypowiadać się na każdy temat i wyrażać opinię w każdej sytuacji. Nie chcemy tutaj mówić o nadużyciach tego prawa oraz o kulturze wypowiedzi lub jej braku. Niemniej jednak media te pozwalają na natychmiastowy kontakt z praktycznie nieograniczoną liczbą ludzi. Jednak jest to pozorne, gdyż większość „kontaktów” to najczęściej osoby, których tak naprawdę dobrze nie znamy. Nie możemy na nich polegać na co dzień i znać ich prawdziwych potrzeb.

Co innego żywa wspólnota, której jesteśmy członkami i przyjmujemy na siebie nie tylko prawa i przywileje wynikające z przynależności, ale podejmujemy też obowiązki, które nas dotyczą.

Wspólnota ma najczęściej określony cel, dla którego jest powołana. Może to być cel rozwojowy, wspomagający

w jakiejś sprawie, realizacja jakiegoś projektu lub wiele innych. Najmniejszą wspólnotą jest oczywiście najbliższa rodzina, w której to kształtują się postawy i przekonania, które często powielamy przez całe życie, o ile ich świadomie nie zmienimy.

Wspólnota, o której chcemy dziś napisać parę słów nosi nazwę PALEOLIT i powstała 18 lat temu z inicjatywy grupy absolwentów duszpasterstwa akademickiego ojców Dominikanów w Poznaniu. Do grupy tej należała Natalia, a Daniel dołączył nieco później. Na początku była to mniej więcej dwudziestoosobowa garstka osób, do której z czasem zaczęli dołączać ich przyjaciele, zarówno z duszpasterstwa, jak i z zewnątrz. Najczęściej były to „drugie połowy”, bo był to czas zawiązywania małżeństw. Na świat zaczęły przychodzić coraz liczniejsze dzieci, nierzadko po 4-5 w rodzinie. Stąd dziś Paleolit liczy sobie ok. 100 członków dorosłych i ok. 150 dzieci.

Czym się zajmujemy? Naszym celem jest wzajemne wspieranie się oraz rozwój w wierze, a także udział w dziełach służących innym ludziom spoza wspólnoty.

Jako wspólnota byliśmy inicjatorami i przez wiele lat organizatorami corocznego Jarmarku Św. Jacka przy klasztorze OO. Dominikanów w Poznaniu. Dochód z tego przedsięwziętego grudniowego wydarzenia przez kilkanaście lat przekazywaliśmy potrzebującym, czy to w okolicy czy gdzieś za wschodnimi rubieżami. Od tego roku organizujemy serię wykładów pod tytułem SPADKOWIERCY, poruszających niełatwą tematykę przekazywania wiary naszym dzieciom. Wspieramy też ojca Jana Górę w dziele spotkań młodzieży na Polach Lednickich.

Poza tym organizujemy regularne rekolekcje kilka razy w roku dla członków wspólnoty i zaproszonych gości, spotykamy się co miesiąc na wspólnej mszy św. oraz spotykamy się raz w miesiącu w mniejszych grupkach po domach, analizując Pismo Święte, modląc się lub dyskutując. Ojcowie wyjeżdżają raz do roku na tzw. „Wyprawę z Tatą”, zabierając spod skrzydeł mamuś wszystkie pociechy. Mamy także spotkania „stanowe”, zatem panie dyskutują w swoim kręgu o ważnych dla nich zagadnieniach, a panowie rozważają męskie kwestie.

Jakie znaczenie ma Paleolit dla nas i dla naszej Rodziny?



To tutaj tak naprawdę się poznaliśmy, tutaj nawiązaliśmy liczne przyjaźnie. Paleolit to grupa osób, skupiona wokół wspólnych wartości chrześcijańskich i blisko związana z duchowością dominikańską. Wiemy, że możemy na sobie polegać, liczyć na siebie w trudnych sytuacjach życiowych i zawsze poprosić o pomoc w jakichkolwiek sprawach. Często wymieniamy się

ogłoszeniami o pracę, sprzedaż auta lub mieszkania, przekazujemy sobie różne rzeczy.

Największym chyba dobrodziejstwem naszej wspólnoty jest wsparcie modlitewne, które, jak wielokrotnie odczuliśmy, ma ogromną moc. Na prośbę kogokolwiek

z nas, w razie trudnych przypadków chorób, operacji i innych perturbacji życiowych, cała wspólnota łączy się w modlitwie, czego efekty często są wręcz spektakularne. Nasze spotkania podczas rekolekcji, mszy i przy innych okazjach, często czysto towarzyskich dają możliwość wymiany poglądów i swobodnego pobycia ze sobą. Ostatnim miłym wydarzeniem był organizowany przez Natalię Bal 18-tkowy.

Co ogromnie ważne, to fakt, że nasze dzieci również często się spotykają i przyjaźnią. Daje im to poczucie, że jest wiele rodzin podobnych do naszej, dla których wiara nie sprowadza się tylko do niedzielnej mszy św., ale jest swego rodzaju „stylem życia”. Dodatkowo możemy się mobilizować i angażować we wspólne dzieła na rzecz innych osób.

Korzyści z bycia członkiem wspólnoty można byłoby wymieniać jeszcze długo, dość powiedzieć, że nasze życie byłoby znacznie uboższe bez naszych przyjaciół i duszpasterzy.

Nie znaczy to, że sama obecność w jakiegokolwiek wspólnocie chrześcijańskiej wystarczy, aby być bliżej Boga. Rzeczywiście, pozwala zbliżyć się do niego na co dzień, ale uczestnictwo we wspólnocie stawia też dużo więcej wymagań, niż bycie poza nią. Wiemy, że droga do świętości wiedzie bardzo pod górkę i że często się z niej staczamy, ale przynajmniej próbujemy, do czego też każdego zachęamy!

Praktycznie przy każdej parafii zawiązują się różne wspólnoty. Na pewno każdy może znaleźć coś dla siebie. Oczywiście wiele zależy od pomysłów i zaangażowania księdza, ale jeszcze więcej od zaangażowania samych wiernych. Nasza parafia na Strzeszynie jest świetnym

przykładem, że ludziom się chce. Działają i ludzie starsi, co mniej dziwi, ale też i ludzie młodzi i dzieci. Gremialnie uczestniczą w roratach, po których czekają na nie pyszne kanapki przygotowane przez starsze pokolenie parafianek i parafian. W tym roku została zorganizowana Gra Świętych i bal wszystkich świętych, w którym uczestniczyli ludzie poprzebierani za świętych. Poniżej nasi „święci”: Roch jako św. Roch, Joachim jako św. Marcin i Sara jako św. Sara.

Oczywiście działają również liczne wspólnoty, którym przyświecają inne cele niż krzewienie wartości chrześcijańskich, np. różne koła, towarzystwa i kluby. Także nasze stowarzyszenie rodowe jest świetnym przykładem takiej świeckiej wspólnoty – organizacji opartej na wspólnej tradycji i wspólnych korzeniach. Jednak jej rozwój i stopień, w jakim będzie w stanie wzbogacić życie nasze i naszych dzieci, leży w naszych decyzjach i w naszych rękach.

Natalia i Daniel



Turnus rehabilitacyjny Chromińskich w Przelazach

Pomysł na zorganizowanie turnusu rehabilitacyjno-wypoczynkowego w Przelazach padł już dość dawno ze strony Michała, „burgrabiego na Przelazach”. Przygotowując Zjazd Jubileuszowy w Reymontówce pomyślałem, że to właśnie będzie świetna okazja do przedstawienia tego pomysłu jego uczestnikom. Po ustaleniu z Michałem terminu poprosiłem go, aby w trakcie zjazdu przedstawił zgromadzonym warunki i korzyści z uczestniczenia w tym turnusie. Później, w ślad za tym, wysłałem dwukrotnie do wszystkich członków Stowarzyszenia maile z pełną informację, zachęcając do udziału w turnusie. Ku mojemu dużemu zaskoczeniu okazało się, że z tak atrakcyjnej propozycji rehabilitacji, finansowanej przez NFZ, połączonej z wypoczynkiem, skorzystała tylko garstka członków Stowarzyszenia. Dlaczego – dalibóg nie wiem?



Turnus prawie w komplecie. Prezes „z drugiej strony obiektywu”.

W turnusie wzięli udział: członkowie mojej rodziny, poza mną - moja żona, mój syn, moja siostra i jej mąż oraz siostra mojej żony), a także Danusia Chromińska ze Starego Kurowa, żona nieodżałowanej pamięci Ryszarda. W sumie – czterech członków Stowarzyszenia i trzy osoby bliskie. Trudno uznać, że był to udział gremialny. Pobyt nasz wszyscy uznaliśmy jako bardzo udany. Michał, prezes Powiatowego Ośrodka Rehabilitacyjno-Wypoczynkowego w Przełazach, dwoił się i troił żeby stworzyć nam jak najlepsze warunki i jak najmiłą atmosferę. Mieszkaliśmy w 2 i 1 osobowych pokojach (każdy z własną łazienką). Jedzenie było pyszne i w ilościach „nie do przejedzenia”. Zabiegi rehabilitacyjne prowadzone były przez bardzo ciepłe i miłe oraz profesjonalne rehabilitantki. Aż miło było poddawać się im (zabiegom☺) przez te dwa tygodnie! Każdy z nas na koniec turnusu odczuwał wyraźnie efekty pobytu w Przełazach. Czas po śniadaniu poświęcony był na zabiegi. Po obiedzie mieliśmy czas wolny. Był on świetną okazją do spacerów i podziwiania uroków jesiennych krajobrazów i jeziora Nieszatysz.



Gospodarz nasz zadbał także o liczne atrakcje kulturalne, w tym o dwudniową, piękną prelekcję o życiu i twórczości Czesława Niemena, połączoną z prezentacją zdjęć z jego życia, ze szczególnym uwzględnieniem jego pobyków u rodziny w pobliskim Świebodzinie oraz wspaniałymi nagrańmi jego muzyki i koncertów. Były to naprawdę wspaniałe wieczory. Także i ja dołożyłem „swoją cegiełkę” krótką prelekcją wraz z wyświetlaniem zdjęć z mojego Camino de Santiago. Jeśli dodam, że przez wszystkie wieczory towarzyszyły nam liczne, wytwarzane przez Michała nalewki, które ochoczo wypijaliśmy „ku zdrowotności”, to chyba nikt z czytających nie powinien mieć wątpliwości, że jeśli cegokolwiek tam brakowało - to tylko jego!

Podsumowując: zabiegi w pełnym zakresie, zgodnie ze skierowaniami od lekarzy i opłacone przez NFZ, warunki lokalowe dobre, jedzenie wyśmienite, obsługa bardzo profesjonalna i miła, a na koniec – dodatkowy rabat w opłacie za zakwaterowanie i wyżywienie jaki nam Michał zaproponował spowodowały, że każdy z nas wyrażał chęć uczestniczenia w kolejnym, przyszłorocznym turnusie.

Ze wstępnych rozmów z Michałem wyłania się termin drugiej połowy kwietnia przyszłego roku. Myślę, że ty razem więcej osób skorzysta z tej atrakcyjnej, tak dla zdrowia jak i wypoczynku, oferty.

Michale – dziękujemy Ci za te wspólne dwa tygodnie w Przełazach!

Sławek

Poznajemy historię Polski

Wycieczka do Muzeum Powstania Warszawskiego
(Poznań/Rokietnica/Warszawa) - 29.11.2015

Muzeum Powstania Warszawskiego to hołd
mieszkańców Warszawy, dla tych, którzy walczyli i
ginęli za wolną Polskę w 1944 roku.

Niedzielnym porankiem z centrum Rokietnicy,
wycieczka ruszyła do Naszej Stolicy.

Pani Kinga perfekcyjnie nas pilotowała,
Kokardę i śpiewnik wszystkim rozdawała.

Wiesław wraz z Marianem : drajwerzy,
Na trasie jechali tak jak się należy.

W stolicy przewodnik lekko był spóźniony,
ale program wszystko został nadgoniony.

Obiad w „Literatce” jak każdej niedzieli,
rosół ze schabowym wszyscy równo mieli.

Powstanie Warszawskie, Polskie Termopile,
W muzeum wzruszenie i niezwykle chwile.

Stolicę żegnamy przy kapłanie grobie,
który zło zwyciężał zawsze tylko dobrem.



*Przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie –
grób-pomnik na placu marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie,
symboliczny grób upamiętniający bezimiennych żołnierzy poległych
w czasie wojny.*

Oryginalną atrakcją turystyczną w Warszawie dla najmniejszych-milusińskich była Ławeczka Fryderyka Chopina. Na ławce umieszczony jest przycisk, który wystarczy nacisnąć by posłuchać najsłynniejszych utworów polskiego pianisty.



Przy Ławeczce Chopina



Warszawa na dawnych zdjęciach ... opowiada pani przewodniczka



Chwilka odpoczynku



Król Zygmunt III Waza (w oddali) wita Pana Prezesa M. Szymańskiego i nas. Poniżej – przed Barbakanem.





Na Rynku Starego Miasta w Warszawie

*Razem, młodzi przyjaciele!... Tam sięgaj, gdzie wzrok nie
sięga;
Łam, czego rozum nie złamie [...]*

Gosia Olkiewicz
(ze Starczanowa)

Rok 2015 w mojej gałęzi i rodzinie

W 9 numerze Rocznika opisywałem wg mnie ważniejsze wydarzenia z 2013-stego i 2014 roku, ale życie toczy się dalej i przemijają bezpowrotnie dalsze koleje naszego życia. By coś pozostało na trwale po naszym bytowaniu na tej ziemi postanowiłem też i w tym roczniku opisać kilka w/g mnie ważnych wydarzeń z 2015r. Dla mnie, jako pierwsze i najważniejsze wydarzenie obecnego roku jest moje przejście na emeryturę od 1.01.2015 r. i przekonałem się, że powiedzenie iż to emeryci mają dużo czasu, okazuje się nieprawdą, co myślę potwierdzą będący już emerytami. Następnym bardzo ważnym wydarzeniem 2015 r. był nasz zjazd jubileuszowy z okazji 10-tej rocznicy powstania naszego Stowarzyszenia, który odbył się w dniach 1 i 2 maja 2015 roku w Reymontówce/Chlewiska. Do pomocy w jego organizację ochoczo się, na prośbę Sławka, włączyłem z uwagi na małą odległość mego zamieszkania w Siedlcach od miejsca zjazdu w Reymontówce.

Natomiast największym moim wyzwaniem było wyszukanie kamienia, rzeźbiarza i miejsca jego postawienia. Temu tematowi chcę poświęcić więcej czasu i opisać o problemach i kłopotach związanych z tą realizacją. Chcę również w tym artykule wspomnieć o osobach, dzięki którym pomocy udzielanej w różny sposób w takim kształcie i w takim miejscu jest postawiony ten kamień..

Jesienią 2014 r. prezes Sławek poddał pod rozagę pomysł by na trwale zapisać się do historii, wzorem innych jak i też naszych przodków, którzy w 1901 r. postawili żeliwny krzyż na rozstaju dróg stojący do dziś

we wsi Chromna. Obecnie krzyż ten jest w obrębie posesji p. Marka Ługowskiego i obok tego krzyża, w pierwotnej wersji, miał stanąć nasz kamień, a terminem był nasz zjazd w maju 2015 r. Gdy pomysł ten zyskał aprobatę członków postanowiono, by każdy członek wpłacił minimum 70 zł. by uzyskać pieniądze na ten cel. Pieniądze zebrano bardzo szybko, zdarzały się wpłaty po 100zł i większe. Wszystkim za ten piękny gest serdecznie dziękuję w imieniu prezesa i Rady Starszych. Jako że ja mieszkam w pobliżu Chromnej prezes powierzył mi abym na miejscu, w porozumieniu z nim, pilotował realizację tego pomysłu, a mianowicie wyszukania kamienia, zaproponowania wykonawcy rzeźby, miejsca jego ustawienia, transportu i innych prac z tym związanych. Już w grudniu 2014 roku rozpocząłem poszukiwania odpowiedniego kamienia i miejsca jego ustawienia. Pierwszym pomysłem był niezbyt duży kamień, o wym. 90 cm. wys. i 60 cm. szer. który znajduje się na mojej działce w Modrzewiu

Ale aby się jakoś prezentował należałoby go postawić na cokole, co podrażałoby koszty. Tym bardziej, że pierwotnie, jak już wspomniałem, miał stanąć obok już istniejącej kapliczki, która też stoi na cokole i jest dość wysoka. By uniknąć dodatkowych kosztów rozpocząłem poszukiwania dużego kamienia. W tym celu poprosiłem rodzinę i wszystkich znajomych by rozglądali się za dużym kamieniem i rozpytywali po okolicy - może gdzieś usłyszą lub zobaczą duży kamień?. Po pewnym czasie mąż mojej siostry Grażyny, Staszek Ługowski, jadąc samochodem spostrzegł duży kamień na polu koło Zbuczyna, o czym mnie poinformował, a było to około Bożego Narodzenia. Śniegu w tym czasie prawie nie

było. Gdy go zobaczyłem okazało się, że to jest to, czego szukamy. Był duży i miał dobrą strukturę jak określił później to rzeźbiarz. Zacząłem poszukiwania właściciela tego kamienia i jak się okazało był on własnością mego znajomego Sławomira Radzikowskiego z Modrzewia, który kupił działkę budowlaną wraz z tym kamieniem. Gdy opowiedziałem mu, na jaki cel potrzebuje ten kamień, zdecydował o przekazaniu go za darmo, za co w tym miejscu serdecznie mu dziękuję w imieniu całego Stowarzyszenia. Dodatkowo jeszcze wywiózł go swym ciężkim sprzętem do drogi, gdyż była zima i dało się jechać po polu, a kamień ten, wg szacunku kamieniarza, miał dobrze ponad tonę.

Gdy już miałem kamień, powstał problem przewiezienia kamienia ze Zbuczyna do Siedlec, do rzeźbiarza, celem obróbki, wykucia liter i herbu. W tym celu wybraliśmy się ze Sławkiem do dobrego mego znajomego od najmłodszych lat. Obaj wywodzimy się z sąsiednich wiosek: ja z Modrzewia, a on z Tchórzewa i obaj mieszkamy w Siedlcach. Znajomy ten posiada dużą firmę związaną z budownictwem i dysponuje między innymi odpowiednim sprzętem by przetransportować nasz kamień. Znajomym tym jest Jan Stanisław Chromiński, którego wszyscy poznali na ostatnim zjeździe, w czasie którego został on przyjęty w poczet członków, a jego żona Alina złożyła deklarację przystąpienia i wkrótce po zjeździe została również przyjęta.



Moment przedstawienia uczestnikom Zjazdu Alicji i Janka z Siedlec

Gdy poprosiliśmy Janka o przysługę przewiezienia do rzeźbiarza, a później na miejsce jego ustawienia, obiecał nam to zrobić gratisowo, co też wykonał. Gdy jak się zdawało wszystko było załatwione i dopięte na ostatni guzik, niespodziewanie powstał problem z miejscem ustawienia kamienia. Otóż właściciel działki w Chromnej, na której miał stanąć kamień, a dokładniej jego syn, nie wyraził zgody na tak duży kamień. Zaproponował nam możliwość zamocowania tabliczki do istniejącej tu kapliczki, na co my nie mogliśmy przystać mając tak piękny kamień i w dodatku rozpoczęte przy nim prace. I w tym przypadku niezawodny i przydatny okazał się wspomniany Jan Chromiński z Siedlec, który zaproponował nam miejsce na kamień w Chromnej, na terenie będącym własnością syna Krzysztofa i jego żony Ewy, na co oni wyrazili zgodę wskazując miejsce w centralnym punkcie dużej działki tuż przy wejściu do ich

restauracji i hotelu. Z perspektywy czasu widzę że ta druga lokalizacja jest o wiele lepsza od pierwotnej przy kapliczce, gdyż tam, z dala od głównej trasy i skupisk ludzi, mało kto by go oglądał. Druga lokalizacja wg mnie jest o wiele lepsza, gdyż po pierwsze jest na posesji młodych Chromińskich, po drugie jest to miejsce przy głównej trasie z Warszawy do granicy wschodniej przez Terespol, po trzecie na posesji tej jest stacja paliw, sklep, hotel i restauracja dzięki czemu dużo ludzi tu bywa - nie tylko miejscowych ale i przejezdnych. Po czwarte i chyba najważniejsze to pewność że na długie lata miejsce to nie zarośnie chwastami, za co jesteśmy i będziemy wdzięczni Ewie i Krzysztofowi Chromińskim z Chromnej oraz ich dzieciom. Gdy kamień był gotowy Jan, zgodnie z obietnicą, dał beton pod kamień i samochód z dźwigiem do jego transportu by go ustawić na wcześniej przygotowanym miejscu, co nieskromnie wspomnę było moją zasługą i nie tylko. Trzecim b. ważnym wydarzeniem był nasz V Zjazd Jubileuszowy, tym bardziej ważnym dla mnie osobiście, gdyż na tym zjeździe był poświęcony w/w kamień w przygotowanie, którego byłem osobiście bardzo zaangażowany i zależało mi by to wypadło jak najlepiej i było jak najwięcej osób również i z mej gałęzi. Muszę się tu pochwalić że w pewnym sensie mi się to udało, gdyż pierwszy raz na zjeździe była cała moja najbliższa rodzina tj. siostra Krystyna z mężem Januszem z Legnicy i druga siostra Grażyna z mężem Stanisławem z Siedlec i ja z żoną i trójką dzieci z których dwoje jest członkami Stowarzyszenia. Starsza córka Renata jest członkiem założycielem i była z mężem Krzysztofem i dwójką

dzieci, oraz syn Artur który został przyjęty na członka na tym zjeździe i był z żoną Beatą i też dwójką dzieci.



Prezes wręcza Arturowi uroczyste potwierdzenie przystąpienia



Moja rodzina i Olek przy kamieniu

Gdy do rodziny doliczę jeszcze siostrę cioteczną Zdzisławę Kozak i jej brata Zbigniewa z żoną Krystyną i córką Beatą to zebrała nas spora 19 osobowa grupa. Muszę tu jeszcze wspomnieć o dwóch rodzinach Chromińskich z Siedlec, które uczestniczyły pierwszy raz w zjeździe i myślę że jest w tym trochę mej zasługi, a mianowicie wspomniany nasz wybawca z niektórych kłopotów przy kamieniu, Jan Chromiński z żoną Aliną którzy są już naszymi członkami, oraz Franciszek Chromiński z żoną Bożeną z Siedlec.

Muszę tu jeszcze wspomnieć o dwóch rodzinach Chromińskich z Siedlec, które uczestniczyły pierwszy raz w zjeździe i myślę że jest w tym trochę mej zasługi, a mianowicie wspomniany nasz wybawca z niektórych kłopotów przy kamieniu, Jan Chromiński z żoną Aliną którzy są już naszymi członkami, oraz Franciszek Chromiński z żoną Bożeną z Siedlec



Siostra cioteczna Zdzisława z bratem Zbigniewem, bratową Krystyną i ich córką Beatą

Muszę tu jeszcze wspomnieć o dwóch rodzinach Chromińskich z Siedlec, które uczestniczyły pierwszy raz w zjeździe i myślę że jest w tym trochę mej zasługi, a mianowicie wspomniany nasz wybawca z niektórych kłopotów przy kamieniu Jan Chromiński z żoną Aliną którzy są już naszymi członkami, oraz Franciszek Chromiński z żoną Bożeną z Siedlec. Mam nadzieję że w niedalekiej przyszłości przynajmniej, jedno z nich będzie naszym członkiem. Uczestnicy którzy pierwszy raz byli



Franciszek Chromiński z Siedlec z żoną Bożeną

na takim spotkaniu, po zjeździe opowiadali mi że impreza była udana. Świetnie się bawili, nawiązali nowe znajomości, tylko pogoda trochę nas zawiodła wieczorem, bo grill był przygotowany na otwartym terenie, a deszcz zmusił nas do ucieczki pod dach. Ale ogólnie było bardzo fajnie i mam nadzieję że na następnym zjeździe nie zabraknie tych osób i być może zaproszą jeszcze innych ze swych rodzin.

Ryszard z Siedlec

Nasz Zjazd Jubileuszowy.

Przejmując na IV Zjeździe we Wrześni obowiązki prezesa Stowarzyszenia od razu wyznaczyłem sobie najważniejsze zadanie tej kadencji: zwołanie zjazdu jubileuszowego którym uczymy 10. rocznicę powstania Stowarzyszenia. Od razu byłem też przekonany, że te uroczystości powinny odbyć się w Reymontówce, w której w 2005 r. pierwszy raz spotkaliśmy się i powołaliśmy nasze Stowarzyszenie.

Takim najważniejszym i co więcej – trwałym elementem planowanego zjazdu miało być odsłonięcie i poświęcenie kamienia pamiątkowego, upamiętniającego „miejsce skąd nasz ród” i nasz jubileusz. Oczywiście było, że pierwszą osobą do której z tym pomysłem zwróciłem się był Ryszard z Siedlec. Jako mieszkaniec tej ziemi nie tylko znał miejscowe realia ale też ludzi którzy mogliby być użyteczni przy realizacji tego pomysłu i – co najważniejsze – „miał chęć do roboty”. Po wsparciu przez niego pomysłu już wspólnie przystąpiliśmy do jego realizacji. Ryszard z dużym zaangażowaniem włączył się we wszystkie etapy prac z tym związanych. Bez jego wsparcia tego pomysłu nie mógłbym zrealizować. Nasza wspólna praca dała nadspodziewanie dobre efekty. Szczegóły Ryszard opisał w tekście zamieszczonym powyżej. Ja tylko uzupełnić chcę jego relację o parę istotnych szczegółów. Kiedy, po znalezieniu przez Ryszarda kamienia, wspólnie ustaliliśmy z gospodarzem terenu w Chromnej, gdzie stoi pamiątkowy krzyż - Markiem Ługowskim, że ustawimy tam nasz kamień – wydało się, że największe problemy mamy już za sobą. Zaprosiliśmy nawet Telewizję Regionalną która w tym

właśnie miejscu, przeprowadziła z nami i wspomnianym wyżej Markiem Ługowskim całkiem miły wywiad, wyemitowany później w telewizji mazowieckiej. Niestety, z przyczyn nie leżących po naszej stronie, lokalizacja ta okazała się nieaktualna. Trzeba było szukać innej. Ryszard zaproponował więc spotkanie się z Janem Chromińskim z Siedlec, którego syn prowadzi w Chromnej, przy drodze na Terespol, stację benzynową wraz ze sklepem, restauracją i hotelikiem. Miejsce było bardzo dobre, lepsze niż wcześniejsza lokalizacja. Przede wszystkim przewija się tam codziennie dużo osób i zapewne większość z nich zauważy i obejrzy nasz kamień. Poza tym kamień ten będzie pod stałym nadzorem. Musieliśmy tylko spotkać się z Jankiem w Siedlcach i poprosić go o zgodę. Spotkanie trwało dosłownie parę minut. Po wyjaśnieniu mu naszej propozycji natychmiast zadzwonił Chromnej do syna i zapowiadając naszą wizytę u niego poprosił o „pozytywne załatwienie prośby”. Tak też się stało. Tekst napisu na kamieniu już wcześniej przygotowałem, pozostało więc tylko ustalić z rzeźbiarzem termin wykonania i cenę. To też poszło nam szybko.

Zjazd – moim zdaniem – odbył się w świetnej atmosferze. Pierwszego dnia, na uroczystej kolacji uroczyste przyjęcie zostali i pasowani na członków Stowarzyszenia: Jolanta Chomińska ze Szczecina, Janek Chromiński z Siedlec (ten u którego syna stanął kamień), Agnieszka Król ze Szczecina i Artur Chromiński z Siedlec.



Uroczyste pasowanie na członka Stowarzyszenia Janka z Siedlec

Jednak najbardziej uroczystym momentem było odczytanie listu Prezydenta Rzeczypospolitej Bronisława Komorowskiego do uczestników Zjazdu z gratulacjami i życzeniami owocnego i radosnego jego przebiegu. Pod oficjalnym gratulacjami znalazł się też własnoręcznie dopisany akapit, w który Pan Prezydent nawiązał do zjazdu Komorowskich i przytoczył hasło jakie towarzyszyło jego uczestnikom: „Bo rodzina bądźcie pewni, to też ludzie, chociaż krewni”. Hasło to wisiało także na naszych planszach w jednej z sal zjazdowych jako cytata z tego właśnie listu.



Prezes odczytuje list gratulacyjny Prezydenta Rzeczpospolitej



Uczestnicy Zjazdu na stojąco wysłuchali odczytywanego listu
 Drugim najważniejszym i najbardziej uroczystym wydarzeniem była msza święta w intencji wszystkich zmarłych i żyjących członków Stowarzyszenia w

kościół parafialny w Zbuczynie, gdzie znajdują się akta metrykalne naszych przodków.



Natalia śpiewa psalm

Podczas niej, odprawiający ją ksiądz proboszcz Stanisław Chodźko wygłosił piękne i wzruszające kazanie w którym podkreślił wagę pamięci historycznej, poczucia ciągłości rodowej na przestrzeni wieków i roli w tym naszego Stowarzyszenia. W mszy świętej wzięło udział wielu Chromińskich mieszkających na terenie parafii zbuczynskiej, którzy dzięki księdzu dowiedzieli się o naszym Stowarzyszeniu. Bezpośrednio po mszy świętej wszyscy udaliśmy się do Chromnej, gdzie po odsłonięciu przez naszego seniora Ryszarda ze Starego Kurowa i przewodniczącego Rady Starszych Ryszarda z Siedlec kamienia pamiątkowego, ksiądz proboszcz poświęcił go.



Moment odsłonięcia kamienia pamiątkowego



Ksiądz proboszcz poświęcił kamień

Następnie, po odczytaniu przeze mnie Aktu erekcyjnego został on wmurowany pod kamieniem na świadectwo dla przyszłych pokoleń. W uroczystości tej gremialnie uczestniczyli wspomniani Chrominscy z okolicznych wiosek. Gospodarze terenu państwo Ewa i Krzysztof

Chromińscy zafundowali nam po lampce szampana i ciasto, a zakończeniem tej radosnej uroczystości było wspólne zdjęcie: nas, członków Stowarzyszenia oraz obecnych okolicznych Chromińskich, z którymi żywiłowo wręcz nawiązaliśmy ciepłe relacje.



Wspólne zdjęcie uczestników Zjazdu i okolicznych Chromińskich

Następnie kawalkadą aut udekorowanych flagami Stowarzyszenia udaliśmy się do Reymontówki na obiad, po którym nastąpiło zakończenie Zjazdu i wszyscy rozjechaliśmy się do domów.

Sławek

Europejski Festiwal Ludzi w Złocięncu

Na początek trochę historii o miejscowości Złocieniec.

Złocieniec położony jest nad rzeką Drawą. Pierwsze wzmianki o Złocięncu pochodzą z 1311 roku, kiedy był graniczną osadą wielkopolski. W 1333 roku osada leżąca obok zamku Wedelów otrzymała prawa miejskie. W końcu XIII wieku miasto znalazło się we władaniu Brandenburgii. W 1388 roku zostało zniszczone przez krzyżaków. Latach 1402-1454 to okres panowania w Złocięncu krzyżaków. Od początku XVI stulecia jego właścicielem był potężny ród Borków. Stacjonujące w Złocięncu oddziały Wallensteina podczas wojny trzydziestoletniej (1618-1648) przyniosły poważne straty miastu. W 1657 roku przechodziły tędy w pogoni za Szwedami wojska Czarnieckiego. W XVIII wieku nastąpił powolny rozwój miasta. Złocieniec stał się poważnym ośrodkiem produkcji sukna. W 1833 roku kupiec Klatte założył pierwszą na pomorzu przędzalnię o napędzie parowym. Połączenie kolejowe miasto otrzymało w 1877 roku. Podczas II wojny światowej, w 1945 r., pomimo zaciętych walk o przełamanie Wału Pomorskiego miasto niewiele ucierpiało. Odbudowane i rozbudowane jest małym ośrodkiem handlowo turystycznym pośród pięknego krajobrazu lasów i jezior. Ma doskonałe warunki do uprawiania sportów wodnych i wędkarstwa. Przebiega tędy jeden z najbardziej uczęszczanych szlaków kajakowych w Polsce z którego korzystał między innymi Papież Jan Paweł II.

Oficjalnym Partnerem Europejskiego Festiwalu Ludzi zostało Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP. Projekt współfinansowany przez MSZ w ramach konkursu „Współpraca w dziedzinie dyplomacji publicznej 2015”, koordynatorem tego była Alicja Borkowska. Prezesem Stowarzyszenia Przyjaciół Kultury „Inspiracje” była Monika Kuczyńska, pomocą w organizowaniu całego Europejskiego Festiwalu Ludzi byli także pracownicy Złocienieckiego Ośrodka Kultury. Europejski Festiwal Ludzi odbywał się od 18 – 24 lipca 2015 roku.



W Europejski Festiwalu Ludzi udział wzięli przedstawiciele takich państw jak: Węgry, Irlandia, Luksemburg, Polska, Niemcy, Hiszpania, Francja, Litwa, Łotwa, Włochy, Belgia, Szkocja, Dania. Uczestnicy Europejskiego Festiwalu Ludzi brali czynny udział w różnych dziedzinach kultury i sportu, w tym

takich jak: widowiskowy show, warsztaty teatralne, eksplozja europejskich smaków, turniej koszykówki, strzelanie z broni długiej, tenis stołowy, petatnka czy bóle to super gra w kule. – jest to tradycyjna gra francuska znana również w innych krajach europejskich (Belgia, Hiszpania, Włochy, Niemcy). Zasady gry są proste, gra się metalowymi kulami oraz drewnianą kulka zwaną świnką, celem gry jest umieszczenie swoich kul bliżej świnki niż przeciwnicy. Nie obyło się też bez tańca i muzyki zespołów ze Szkocji i Irlandii. Szkoci pokazali swoje fantastyczne tańce ludowe składające się z podskoków, piruetów i obrotów, wszyscy nas sobie mieli kilty. Irlandia zagrała tradycyjną muzykę swojego kraju, kobiety reprezentowały step irlandzki. Niestety, jak to zwykle bywa, pod koniec tańców zaczął padać deszcz. Ale mimo wszystko publiczność tańczyła i bawiła się razem ze Szkotami i Irlandczykami.

Poszczególne państwa uczestniczące w festiwalu utworzyły swoje europejskie wioski, na których pokazywane i sprzedawane były wykonane ręcznie biżuterie oraz piwo.

W polskiej eurowiosce smakowała „Polish tradyszn wodka”, chleb ze smalcem smakował i rozchodził się „jak ciepłe bułeczki” Odbył się też spływ kajakowy rzeką Drawą na wyspę Sołtysią w Lubieszewie. Pogoda dopisała, uczestnicy mino zmęczenia byli bardzo zadowoleni. Podziwiali naszą nienaruszoną, dziką wręcz naturę. Podczas „pasta party” zorganizowanego przez grupę Włochów, ogłoszono konkurs na jedzenie spaghetti na czas. Pierwsze miejsce zajęła grupa z Niemiec, drugie Włosi, trzecie miejsce zajęła Polska.

Wieczorem na głównej scenie złocienieckiego amfiteatru wystąpiły grupy taneczne Litwy, Łotwy i innych państw.



„O Polsce w trzech słowach” – opinie uczestników Europejskiego Festiwalu ludzi:

Łotwa – jabłka, kolory, zakupy
Niemcy – Podolski, wakacje, Wałęsa,
Włochy – zimno, życzliwość, krajobraz
Hiszpania – zimno, wódka, gościnność
Węgry – życzliwość, uśmiech, blondynki,
Szkocje – jedzenie, piłka nożna, jedzenie,
Francja – uprzejmość, otwartość, słodkie dziewczyny,
Dania – wódka, siatkówka, ciasta,
Belgia – wódka, duch zespołowej walki, strzelanie,

Luksemburg – tanio, zieleń, kocie łby,
Litwa – sąsiedzi, przyjaźń, piwo,
Irlandia – piękne kobiety, zimno, życzliwość.

Teraz, kiedy Europejski Festiwal Ludzi zbliża się do końca okazuje się, że gospodarze jak i uczestnicy mają coś wspólnego i tak : polska pogoda jest trochę jak irlandzka, polskie dziewczyny są tak piękne jak łotewskie, lubimy imprezować ja Niemcy, polska flaga ma takie same kolory jak duńska, Polacy tańczą równie jak Węgrzy, nasze autobusy nie są tak luksusowe jak w Luksemburgu, gotujemy dobrze jak Litwini, gdziekolwiek jest darmowe jedzenie Polacy są tak szybcy jak inne narody, a polskie drogi są najbardziej wyboiste w Europie.

Wystrzałowe konfetti, barwne serpentyny, tańczące fontanny zakończyły Europejski Festiwal Ludzi.



Nadszedł czas na jego podsumowania, gorące podziękowania i pożegnania wszystkich delegacji czternastu państw. Piątek 24 lipca należał do najatrakcyjniejszych z całego tygodnia obchodów Europejskiego Festiwalu Ludzi. Dzień ten wpisał się na stałe w historię miasta Złocieńca i zapadnie głęboko w pamięci wszystkich mieszkańców. „Zjednoczeni w różnorodności” to motto Unii Europejskiej. W myśl tego motto odbyła się parada ulicami miasta.



Herby państw – uczestników Festiwalu



Parada ulicami miasta

Niezwykła, zjawiskowa, barwna integracja europejska - tak można opisać panującą atmosferę podczas parady państw biorących udział w tegorocznym festiwalu. Na

cześć wszystkich wystrzelono z armaty, która jest symbolem przyjaźni wcześniej zwaśnionych miast - Drawska i Złocięca. Po oficjalnej części nadszedł czas na zabawę do białego rana przy rytmach zespołu Jambo Africa, który rozgrzał publiczność do czerwoności. Zakończeniem wieczoru był pokaz tańczących fontann. Dokładnie o północy komputerowo sterowane fontanny, światła i lasery oraz muzyka wprawiły wszystkich w zachwyt. Po tym pokazie uczestnicy z satysfakcją, ale też żalem, że to już koniec udali się do domów.



Olek

Moje Camino

Camino de Santiago, czyli po polsku Droga do Santiago, to szlak pielgrzymi do domniemanego grobu św. Jakuba Większego Apostoła, znajdującego się w północno-zachodniej części Hiszpanii. Często więc funkcjonuje też druga nazwa: Camino de Compostela, czyli Droga do Grobu.

Pragnienie wejścia na ten pielgrzymi szlak towarzyszyło mi od wielu lat. Przeszkodą była praca zawodowa, a dokładniej – zbyt krótki urlop jak na 800-km. pieszą wędrówkę. Ale przyszedł czas jak „ziemia obiecana”, czas emerytury, a z nim czas na realizację tego marzenia. Z wielu szlaków pielgrzymich wybrałem Camino Frances, najstarszy, liczący ponad 1000 lat szlak pielgrzymi, zaczynający się w Saint Jean Pied de Port, po francuskiej stronie Pirenejów. Któż tym szlakiem nie chodził w czasie tych minionych wieków! Władcy – książęta, królowie, cesarze, święci (m.in. św. Franciszek z Asyżu, św. Jan Paweł II) i zbrodniarze, uczeni i lud prosty... Słowem – jest na tym szlaku „genius loci”.

Żeby nie iść całkiem sam, zaproponowałem udział w tej wędrówce mojemu serdecznemu przyjacielowi Karolowi Korzelowi z Gorzowa Wielkopolskiego. I tak, 25 sierpnia tego roku przybyliśmy w nocy do Saint Jean Pied de Port, by po paru godzinach snu wyruszyć następnego dnia na naszą pielgrzymkę. Karol już od początku deklarował zejście z trasy po 10 dniach, gdyż miał w tym czasie w Barcelonie kongres okulistyczny w którym chciał wziąć udział. Ja, mimo gorącego namawiania mnie przez Karola do przerwania razem z nim wędrówki, byłem

zeterminowany iść samotnie do końca. Szło się nam wspaniale! Mimo ogromnego gorąca i istic spartańskich warunków noclegowych, a także skromnych posiłków, z dnia na dzień jakby przybywało nam sił i radości z przemierzanych kilometrów. Po pierwszym, morderczym wręcz etapie, kiedy to musieliśmy w 40 stopniowym upale, ciężkim, forsownym marszem wspiąć się na szczyty Pirenejów, a potem z jeszcze większym trudem zejść na dół do Roncesvalles, już po hiszpańskiej stronie Pirenejów, wydawało nam się, że to co najtrudniejsze mamy już za sobą. Okazało się jednak, że i dalej droga nie jest ani łatwa ani lekka, a 10-kilogramowy plecak na plecach ciąży każdego dnia tak samo. Karol, zgodnie z planem, zszedł 10 dnia ze szlaku. Ja poszedłem jeszcze jeden etap samotnie, ale później też musiałem przerwać pielgrzymkę z powodu kontuzji nóg i jak najszybciej wracać do domu w celu podjęcia leczenia. W sumie przeszliśmy blisko 300 km. czyli ponad 1/3 zaplanowanej trasy. Doświadczyliśmy na niej wszystkiego czego pielgrzym „w starym stylu”, idący na własnych nogach, doświadczał: sam sobie zapewniając noclegi, wyżywienie, niosąc na własnych plecach to co mu w drodze było potrzebne. Upadki, podnoszenia się z nich, duże zmęczenie i radość ранnego wyruszania na kolejny etap, upały i dynamiczna burza z gradobiciem i gwałtownymi wyładowaniami na otwartym polu, kontuzje nóg... Wszystko to traktowaliśmy jako dobre doświadczenie zgodnie z zasadą, że „to nie droga jest trudem, to trud jest drogą...”.

Kiedy dzień po moim powrocie do domu przyjechał do nas z Barcelony Karol, pierwszym naszym postanowieniem było to, że w przyszłym roku

wyruszamy ponownie na szlak aby dokończyć przerwana pielgrzymkę. Po zaleczeniu nóg pozostała mi tylko operacja prawego kolana (9 marca 2016 r.) po której, (mam taką nadzieję), szybko wrócę do treningu dzięki czemu, z końcem sierpnia, będę mógł wrócić na Camino. Pozostało nam 500 km., ale te najtrudniejsze mamy już za sobą. W tym co przed nami będzie jeden odcinek naprawdę trudny, drugi trudny, a pozostałem będą „normalne”. Trzeba będzie po prostu iść po 25 – 35 km. dziennie i upajać się radością jaką ta pielgrzymka daje. Poniżej zamieszczam parę zdjęć z przebytej przez nas trasy i kończę pielgrzymim pozdrowieniem: „Buen Camino” !



Nasze Pireneje, jeszcze przed nami



Rzut okiem za siebie...



... i dalej pod górę



Już niedaleko. Pireneje za nami.



Rozpoczynamy II etap. Tylko tyle jeszcze do Santiago



Z Karolem na moście



Chwilka na oddech....



„Operacja” na ulicy



Do celu pozostało....



Na „Górza Don Kichota”



Z bohaterami Serwantesa



Spotkanie w drodze z eremita



Niemieccy pielgrzymi – wcale nie sztywni!



Z przyjacielem zawsze łatwiej



Spojrzenie „za siebie”

Sławek

**Lista członków
Stowarzyszenia Rodu Chromińskich**

- | | |
|---------------------------------------|---|
| 1. Agnieszka Król | <u>gnieszka-krol@we.pl</u> |
| 2. Alicja Chromińska | <u>alicja.chrominska56@wp.pl</u> |
| 3. Anita Baum | <u>anitabaum@interia.pl</u> |
| 4. Artur Chromiński | <u>arturzyna@poczta.fm</u> |
| 5. Barbara Chromińska Stawska | <u>basia@chrominscy.pl</u> |
| 6. Daniel Chromiński | <u>lubicz@icloud.com</u> |
| 7. Grzegorz Chromiński | <u>grzegorz.chrominski@interia.pl</u> |
| 8. Helena Chromińska | <u>tomchrom@wp.pl</u> |
| 9. Halina Tatarzyńska | <u>halatatar@wp.pl</u> |
| 10. Jan A. Chromiński | <u>olek1200@wp.pl</u> |
| 11. Jan S. Chromiński | <u>alicja.chrominska56@wp.pl</u> |
| 12. Jolanta Chomińska | <u>andrzej.chominski@wp.pl</u> |
| 13. Łukasz Chromiński | <u>lukaszek06@wp.pl</u> |
| 14. Magdalena A. Chromińska Tuszyńska | <u>magdalenachrominska1@gmail.com</u> |
| 15. Małgorzata Chromińska Lehmann | <u>meg-chrominska@o2.pl</u> |
| 16. Maria L. Chromińska | <u>machrom@interia.pl</u> |
| 17. Maria Olkiewicz | <u>gola20@op.pl</u> |
| 18. Maria Chromińska – Rzepka | <u>mariarzepka@poczta.onet.eu</u> |
| 19. Maria Teresa Chromińska | <u>tomchrom@wp.pl</u> |
| 20. Michał Chromiński | <u>przelazy@poczta.fm</u> |
| 21. Natalia Chromińska | <u>nchrominska@gmail.com</u> |
| 22. Radosław Chromiński | <u>grapefruit@gmail.com</u> |
| 23. Renata Chromińska – Linkiewicz | <u>renatalink@tlen.pl</u> |
| 24. Ryszard Chromiński | <u>chrominscy@tlen.pl</u> |
| 25. Sławomir Chromiński | <u>slawomir@chrominski.pl</u> |
| 26. Stanisław K. Chromiński | <u>danutachrominska@wp.pl</u> |
| 27. Stanisław M. Chromiński | <u>chroms stan@interia.pl</u> |
| 28. Stanisław Chromiński | <u>stanislawchrominski@vp.pl</u> |
| 29. Tomasz J. Chromiński | <u>tomchrom@wp.pl</u> |
| 30. Waldemar Chromiński | <u>chrominscki@wp.pl</u> |
| 31. Wojciech Chromiński | <u>lubicz1@vp.pl</u> |
| 32. Zdzisław Chromiński | <u>zdzichukatowice@gmail.com</u> |

Informacje o Stowarzyszeniu

Prezes Stowarzyszenia
(będący jednoosobowym zarządem)
Sławomir Chromiński

Rada Starszych
(organ doradczy przy prezesie)

1. Ryszard Chromiński	przewodniczący
2. Maria Leokadia Chromińska	sekretarz
3. Halina Tatarzyńska	skarbnik
4. Jan Aleksander Chromiński	archiwista
5. Daniel Chromiński	stały członek Rady

Nr konta bankowego Stowarzyszenia:

Nazwa banku: **Credit Agricole**
Nazwa posiadacza rachunku: **Stowarzyszenie Rodu Chromińskich**
Nr rachunku: **81 1940 1076 3034 4583 0000 0000**
Tytuł wpłaty: **składka członkowska (plus**
ewentualnie wpisowe), imię i nazwisko oraz imię ojca, zarok.

Adres do korespondencji: **Jowisza 20, 05-509 Piaseczno**

Zgodnie z Uchwałą IV Zjazdu Stowarzyszenia Rodu Chromińskich, składka członkowska wynosi 100 zł. za rok. Zarząd, uchwałą z dnia 28 sierpnia 2006 r. ustalił wysokość opłaty wpisowej na 20 zł.

Stowarzyszenia Rodu Chromińskich jest wpisane do:
Krajowego Rejestru Sądowego pod numerem 0000255145
Nr REGON 140612134
NiP 521 339 97 38

Redakcja Rocznika – Sławomir Chromiński
Korekta – Agnieszka Król

Spis treści:

str.

1. Artykuł wstępny	
<i>Sławek</i>	1
2. Pamięci tych co odeszli	
- Mój tata – jaki był?	
<i>Halina Tatarzyńska</i>	3
- Ryszardowi	
<i>Sławek</i>	7
- Okiem refleksyjnym	
<i>Basia</i>	9
3. Nasi goście	
- Moja Alaska – w bieli cała	
<i>o. Marek Sokołowski</i>	12
- Parafia Zbuczyn	
<i>Robert Wiraszka</i>	25
- Zwroty grzecznościowe szlachty	
<i>Robert Wiraszka</i>	31
- Ocalić od zapomnienia	
<i>Ewa Chromińska</i>	33
- Moje wrażenia z pobytu w Przełazach	
<i>Danuta Chromińska</i>	44
4. Nasi członkowie napisali	
- Wspomnienia Kombatanta	
Ryszard ze Starego Kurowa	47
- Warto wspólnie	
<i>Natalia i Daniel</i>	59
- Turnus rehabilitacyjny Chromińskich	
<i>Sławek</i>	64
- Poznajemy historię Polski	
<i>Gosia Olkiewicz</i>	67

- Rok 2015 w mojej gałęzi i rodzinie	
<i>Ryszard z Siedlec</i>	72
- Nasz Zjazd Jubileuszowy	
<i>Ślawek</i>	80
- Europejski Festiwal Ludzi w Złocięcu	
<i>Olek</i>	87
- Moje Camino de Compostela	
<i>Ślawek</i>	94
- Lista członków Stowarzyszenia	104
- Informacje o Stowarzyszeniu.....	105



Zjazd Jubileuszowy Reymontówka 1 – 2 maja 2015 r.